GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 MARCA 1936 R.

Nr. 4—5 ROK VI

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 4—5
1936 R.
1 — III

HENRYK TENNENBAUM

CZY NALEWANIE Z PRÓŻNEGO?

Bez wełny nie można zrobić ubrania, bez skór — obuwia, bez mąki — chleba; krótko mówiąc i Salomon z próżnego nie naleje.

Rzecz prosta, że pojęć i wartości technicznych, ekonomicznych i finansowych, przy których pomocy człowiek organizuje życie, nie wytwarza się ani z bawełny, ani ze skór, ani z mąki; wynalazki techniczne, weksel, banknot, czek, izby rozrachunkowe są tworem myśli ludzkiej.

Cóż zatem zawiera się w oświadczeniu, że instytucja emisyjna będzie się przeciwstawiała z całą siłą wszelkim teorjom, które twierdzą, że z niczego można stworzyć nowe wartości. Wszak niema teoryj przyrodniczych, któreby twierdziły, że można zrobić pieczywo bez mąki; zaś tworem myśli ludzkiej są stosowane i w Polsce nowe pomysły finansowe, jak np. konwersja zobowiązań, powołanie do życia Banku Akceptacyjnego, zwolnienie z pokrycia kruszcowego w Banku Polskim pierwszych stu milj. zł. rachunków żyrowych, ciągłe zmiany statutu Banku Polskiego itd. Nietylko w Polsce stosowane są nowe pomysły. Podnieta do podejmowania twórczych pomysłów jest aż nadto wyraźna; niema braku ani płodów rolnych, ani surowców, ani fabryk i ludzi do ich przerobienia; nie tylko Salomon miałby z czego nalać; w tym samym czasie ludzkość zmuszana jest do ograniczania spożycia. Nic zatem dziwnego, że odbywa się rewizja naszych ocen w dziedzinie podziału dochodu narodowego, roli siły nabywczej poszczególnych odłamów gospodarstwa narodowego i światowego, roli norm, którym poddane jest działanie systemu kredytowego i t. d. Rzecznicy tych czy innych pomysłów, dotyczących racjonalniejszego podziału dochodu narodowego, tego czy innego systemu oddłużania rolnictwa i samorządu, są, rzecz prosta, orędownikami pewnego sposobu nakręcania konjunktury. Czemu ci politycy, występując zasadniczo przeciwko wszelkiemu nakręcaniu konjunktury, nie zdołali dotąd zdać sobie sprawy z tego, że sami zalecają lub uprawiają nakręcanie konjunktury? Pogląd tych polityków gospodarczych polega na tem, że bez dostatecznej ilości złota Polska nie powinna sobie pozwolić na lekkomyślny wypiek chleba z polskiej mąki, na ogrzewanie chłodnych izb polskim węglem, na budowę nasypów kolejowych z polskiego piasku, na budowę torów z polskich szyn, taboru — z polskich wagonów i lokomotyw i t. d.

Idzie o to, że gdyby w Polsce zaczęto np. kanalizować i elektryfikować miasta, to robotnicy przy tych robotach zatrudnieni, zechcieliby się lepiej ubierać, niż bezrobotni; trzebaby było zatem sprowadzać z zagranicy więcej surowców zagranicznych, których przywozu, Polska wobec stosowanych przez zagranicę ograniczeń importowych, mogłaby nie być w stanie opłacić wywozem swych produktów. Jest to zatem doktryna o marszu krok w krok poszczególnych gospodarstw narodowych; według tej doktryny, poszczególne gospodarstwo narodowe nie powinno do poprawy gospodarczej zdążać prędzej, niż inne gospodarstwa, gdyż osiągnięte powodzenia muszą wywołać zwiększenie przywozu surowców włókienniczych, potrzebnych do odziania osób, które wskutek poprawy

gospodarczej będą mogły sobie kupić więcej odzieży, co z kolei może doprowadzić do odpływu złota.

Słusznie zaznaczył min. Poniatowski w swem przemówieniu na Naradzie Gospodarczej, że o rozszerzeniu rynku zewnętrznego można myśleć jednak tylko na podstawie ułatwienia penetracji dla towarów obcych na nasz rynek, aby wytworzyć pewne poważne podstawy wymienne; na rynku zewnętrznym, na którym dają się uzyskać tylko niewielkie salda korzystne na naszą rzecz, decyduje o zdolności sprzedaży gotowość kupna; i tutaj więc, pośrednio, rzeczą decydującą jest nic innego ,jak zdolność konsumcyjna rynku wewnętrznego.

Djagnoza Poniatowskiego jest i rozumna i śmiała; jednostronną tezę, że trzeba móc wywozem opłacić przywóz, uzupełnia tezą, że trzeba przywozić, aby móc dla swych towarów otworzyć sobie rynki obce; takie postawienie sprawy nie przeczy zresztą doktrynie o marszu krok w krok poszczególnych gospodarstw; wszak wysunięcie się naprzód jednych gospodarstw pociąga za sobą, w myśl tej doktryny, przyśpieszony marsz innych; tylko zbyt pośpieszne wysunięcie się zmusza do zwolnienia kroku; Poniatowski jest, jak widać z jego oświadczeń i dotychczasowej działalności, śmielszym politykiem, niż inni; mniej myśli o ewentualności zwalniania kroku w przyszłości, więcej — o przyśpieszeniu marszu, mając zresztą pod tym względem rację, gdyż Polska, jak wykazuje porównanie polskiego wskaźnika produkcji z zagranicznemi, jest raczej maruderem, aniżeli zbyt śmiałym szwoleżerem .

Konstruowanie obopólnych stosunków wymiennych niezawsze pozwala na pozyskanie potrzebnych towarów; Hiszpanja może nam dać za nabiał pomarańcze, ale za braną przez nas bawełnę lub wełnę Stany, Australja, lub Nowa Zelandja nie potrzebują naszego nabiału; gdyby zatem nie udało się Polsce ułożyć w ten sposób stosunków wymiennych, aby otrzymywać potrzebne surowce włókiennicze, to trzeba byłoby zdecydować się na ograniczenie produkcji przemysłu włókienniczego, co zresztą w tej chwili czynimy. Niemcy też w tej chwili wskutek tych samych przyczyn mniej sprowadzają tłuszczów i gorzej się odżywiają, aczkolwiek należy zaznaczyć, że przed narzuceniem sobie ograniczeń konsumcyjnych Niemcy przestały wywiązywać się ze swych zobowiązań zagranicznych. Polska wywiązuje się ze swych zobowiązań, aczkolwiek Niemcy nie uiszczają należnych Polsce sum.

Polski problem ekonomiczny polega na tem, aby ułożyć zespół posunięć polityczno - gospodarczych, przy którym, nawet w wypadku niemożności otrzymania w trybie tranzakcyj wymiennych potrzebnych nam bawełny i wełny, ludność mogła się dostatecznie odżywiać z polskich płodów rolnych, izby opalać polkim węglem, skarb — budować koleje z polskich materjałów i t. d. Do tak pomyślanej struktury gospodarczej powinno być przystosowane działanie aparatu kredytowego.

Konieczność dokonania tego niewypróbowanego eksperymentu finansowego narzuca nam zarówno bezrobocie, jak i konieczność podniesienia stanu obrony państwa.

Waluta i ruchy złota spełniają tylko rolę termometru, ale gorączka lub niska temperatura są tylko zewnętrznemi objawami skomplikowanych procesów; leczenie chorego nie może mieć na celu tylko usunięcia gorączki; trzeba wynaleźć źródło gorączki i je usunąć; najczęściej samo okładanie lodem pogarsza stan chorego i wywołuje dalsze procesy chorobowe.

Słuszny jest pogląd, że termometr powinien funkcjonować prawidłowo; bez dobrego termometru nie można wyleczyć chorego, ale nie można oczekiwać od termometru, aby automatycznie w trybie autoterapji usuwał choroby. Nie można też w obecnych warunkach od stałości waluty oczekiwać w trybie autoterapji poprawy gospodarczej. Niektórzy politycy oczekują od zmiany podziałek termometru, czyli od dewaluacji, powstania sprzyjających warunków dla autoterapji; tymczasem sytuacja wymaga zespołu celowych posunięć, nazywanego zwykle nakręcaniem konjunktury. Tezie „dewaluacja bez nakręcania konjunktury" przeciwstawiłbym tezę w mem przekonaniu słuszniejszą: „nakręcanie konjunktury bez dewaluacji". Nie widzę żadnego wyraźnego pożytku z dewaluacji, lecz mimo to, obawa przed deprecjacją waluty nie powinna wstrzymywać kierowników polityki gospodarczej od podjęcia niewypróbowanego eksperymentu nakręcania konjunktury.

Mam wrażenie, że rośnie w Polsce ilość zwolenników dewaluacji, oczekujących od niej pomyślnych wyników; jest to mojem zdaniem błąd. Układ stosunków polskich wymaga polityki nakręcania konjunktury, z której, według mego zdania, nie należy rezygnować nawet ze względu na niebezpieczeństwa deprecjacji waluty, aczkolwiek należałoby dążyć do utrzymania stałej waluty na dotychczasowym poziomie.

STEFAN MEYER

SANKCJE

Powodzenie Włoch w walce z „sankcjami“ ma istotne znaczenie dla rozwoju Polski.

Sankcja, wg. starej encyklopedji, jest to uznanie władzy najwyższej dla pewnej normy. Stąd nazwa „Sankcja Cesarska“ dla ustaw monarchji habsburskiej.

Dziś narody nie uznają władz najwyższych. „Sankcja” oznacza represję karną przewidzianą w ustawach przeciw tym, co się do postanowień danych ustaw zastosować nie zechcą. Ustawa, normująca postępowanie, nie zawierająca określenia represji jest ustawą niepełną, technicznie określamy ją, jako „lex imperfecta“.

Taką „Lex imperfecta“ były wszystkie pakty Kelloga etc. Polska i jej sąsiedzi rozumieli dobrze ową niedoskonałość i w uznaniu konieczności norm jasnych i pełnych uzupełniły owe pakty „definicją napastnika“ — był to nb. jedyny pozytywny rezultat, konferencji londyńskiej 1933 r. nieprzewidziany przez inicjatorów.

Jednakże pakty te nie zawierały norm sankcji. Stąd konieczność uzupełnienia w razie pogwałcenia paktów. Konieczność sankcji.

Oto geneza terminu norm postępowania, stosowanego przez część państw świata do Włoch po 18.XI.35 w odpowiedzi na akt gwałtu popełniony na Etjopji.

Czy termin ten jest słuszny — niech odpowie historja gospodarcza Włoch ostatnich miesięcy.

Sytuacja Włoch na rynkach świata była w ciągu ostatnich lat coraz trudniejsza. Immobilizacja płynnych bogactw kraju w wielkich robotach publicznych, zmniejszona konkurencyjność wobec opóźnień w procesie obniżenia kosztów produkcji i kosztów utrzymania, stąd bierność (sit venia verbo) bilansu płatniczego, duże bezrobocie, zaostrzone przez trudności wywozu nadmiaru rąk roboczych w kraju o wielkiej tradycyj emigracyjnej. Oto obraz Włoch rok temu. Przyśpieszenie obrotów gospodarczych w kraju nie dawało dostatecznego zatrudnienia masom a utrudniało sytuację płatniczą.

W lutym 1935 r. oceniano niedobór bilansu handlowego Włoch na 2½ miljarda lirów; wpływy niewidoczne na 1½ i starano się zmniejszyć import w stosunku rocznym 1 miljarda.

Przy zachowaniu swobody obrotu towarowego z obcemi sytuacja lira stałaby się nie do *utrzymania*. Już po rozpoczęciu działań wojennych — przed sankcjami, mieli importerzy trudności z uzyskaniem dewiz na opłatę frachtów. Dziś te trudności ustały.

Sankcje nie odcięły Włochów od świata. Pozostały do ich dyspozycji trzy duże wolne rynki i jeden związany: Stany Zjednoczone, Japonja, Brazylja (a praktycznie biorąc również Peru i Argentyna) oraz Niemcy. Łotwa, Hiszpanja i Norwegja przyłączyły się do sankcji z zastrzeżeniami. Waga rynku Austryjackiego i Węgierskiego występuje w związku z niedoborem drzewa i kukurydzy. Ograniczeniu uległ więc wywóz do Francji, Anglji i Belgji w pierwszym rzędzie.

Pierwszy okres sankcji nie wywołał większych zaburzeń w biegu życia codziennego ani przemysłowego Włoch. Zaopatrzenie w węgiel było przygotowane zawczasu zarówno przez koleje państwowe jak i przez przemysł prywatny. Rezerwy, oceniane przez przemysłowców węglowych polskich na 5 miljonów tonn, podane mi zostały przez importerów włoskich na 16 miljonów. Ostatnio monopol importu ograniczył sprzedaż nowo importowanego węgla zakładom przemysłowym, których zapas przekracza roczne zapotrzebowanie. Zakładom, którym brak węgla ustępują koleje państwowe ze swych zapasów dotychczas bez ograniczeń. Zapasy kolejowe muszą uderzyć każdego podróżnego; są one widoczne w kształcie starannie ułożonych pryzmatów przy zewnętrznych bocznicach każdej stacji towa:a,ao

Zwiększony odbiór węgla w statnich latach pociąga za sobą nacisk na dostawców z chwilą nagłego zaprzestania zakupu. Toteż węgiel szkocki nabyć można dziś we Włoszech na 3 miesięczny kredyt. Z Belgją toczą się pertraktacje o zakup węgla płatnego w połowie kredytem belgijskim w połowie towarami włoskiemi. Dostawy Niemieckie trwają nadal.

Tem nie mniej Włosi ograniczają spożycie węgla, zmniejszając ilość pociągów na linjach niezelektryfikowanych. Tak np. zamiast dwóch nocnych pociągów z Medjolanu do Rzymu kursuje tylko jeden. Pociąg Rzym — Turyn omija niezelektryfikowaną linję nadmorską. Włosi liczą się bowiem z bardzo długotrwałemi sankcjami.

W dziedzinie produktów naftowych to samo zjawisko. A więc duże zapasy (fabryki mają zapasy przekraczające roczne zapotrzebowanie), zmniejszone zużycie wstrzymane tempo zakupów. Zastosowanie czadnic na samochodach opracowane technicznie już w 1933 r. uzyskało nareszcie gospodarczy impuls. W Medjolanie autobusy miejskie idą na gazie ssanym. Ciężarówki też są przebudowywane w ten sam sposób. Cena benzyny dla samochodów, której zapasy są duże (ponad roczne zapotrzebowanie, jak mnie informowano) podniesiona została z 2 lirów do 3.50 za litr. Należy obecnie do złego tonu jeździć własnym samochodem. Jest to może największa prywacja obywatela włoskiego, ale przyzna zapewne każdy, że, mimo rozpowszechnienia automobilizmu we Włoszech, prywacja ta mało obchodzi szerokie warstwy ludności, to jest te, na których opiera się faszyzm, a bije w sfery powoli ograniczane w swych prawach i zasobach. Dodajmy tutaj, że produkty naftowe jeszcze nie są objęte sankcjami i Włosi mają dużo czasu by zwiększyć swe zapasy. Dla ułatwienia spłaty zobowiązań wobec Stanów Zjednoczonych zasekwestrowany został zbiór jedwabiu 1935 r. przyczem, podobno, ceny płacone hodowcom kokonów zachęciły ich do zwiększenia produkcji w r. b.

W dziedzinie aprowizacji trudności sprowadzają się do braku 50% potrzebnej kukurydzy; pszenicy

nie brak „Battaglia del grano" została wygrana jeszcze przed sankcjami. Obawiając się braku mięsa wprowadzono 2 dni bezmięsne w tygodniu. Skutek był taki, że wobec spadku spożycia spadły ceny żywca. Obecnie, pod presją sfer rolniczych, jeden dzień bezmięsny ma zostać odwołany.

Wobec braku wywozu serów, powstał nadmiar mleka na rynku. Nadmiar ten znajduje ujście w fabryce sztucznej wełny.

Przechodząc do przemysłu włókienniczego, dowiedziałem się podczas kilkadniowego pobytu we Włoszech, że niektórym przędzalniom grozi brak bawełny. Brak surowców włókienniczych groził Włochom w razie zaburzeń wojennych od lat. Toteż Włochy rozbudowały przemysł włókien sztucznych, oparty przeważnie na celulozie skandynawskiej. Chcąc sobie zabezpieczyć ten surowiec, założono kilka lat temu plantacje topoli, drzewa, które nadaje się do tego celu i najszybciej rośnie. Nie dorosły one jeszcze do wieku, w którym możnaby je eksploatować. W razie więc objęcia sankcjami cellulozy skandynawskiej mogą się Włochy zaopatrzeć jedynie w surowiec włókienniczy w Austrji.

żelazo sprowadzają Włochy obecnie z U. S. A. Nikiel z własnych Kopalń w Val Sesia zarzuconych po odkryciu złóż w Nowej Kaledonji. Miedź i cynk muszą sprowadzać z Ameryki.

Ten pobieżny przegląd surowców daje nam jedynie obraz przybliżony. Wynika z niego że zaopatrzenie Włoch w surowce było bogatsze, aniżeli przypuszczano powszechnie. Ale jest to najmniej interesująca strona zagadnienia. Znacznie ciekawsze są skutki sankcji w dziedzinie nowych procesów technologicznych. Bez względu na wynik obecnych kampanji, na wynik wojny Włosko Abisyńskiej, na wynik konfliktu Anglo-Italskiego — nowe zdobycze technologiczne będą trwałym dorobkiemWłoch, a z niemi całej kulturalnej ludzkości. Należy tu zaliczyć:

Metody oczyszczania glinek do wyrobów ceramicznych. Dotychczas importowano je z Francji. Obecnie rafinuje się stare złoża w Emilji, zarzucone w średniowieczu, a jako produkt uboczny otrzymuje się dwutlenek tytanu.

Włókno sztuczne wiskozowe specjalnie trwałe, używane na bieliznę żołnierską.

Włókno wiskozowe włochate, używane na wyroby dziane zamiast wełny.

Włókno kazeinowe.

Włochy przystępują do budowy czterech zakładów hydrogenizacji węgla. Mają one być ukończone w ciągu 1½ roku. Jeżeli sankcje potrwają dość długo, doświadczenie zdobyte w tej dziedzinie umożliwi nareszcie krajom węglowym zrzucenia prymatu politycznego krajów naftowych.

Metoda regeneracji kauczuku, opracowana w 1934/35 r. daje zupełnie zadawalające rezultaty.

Lista nowych procesów technologicznych nie jest zamknięta.

Zdjęcie z rynku pracy armji Afrykańskiej oraz praca dla potrzeb wojska i ruch inwestycyjny naskutek nowych procesów technologicznych, zasadniczo zmieniły sytuację na rynku pracy. Podrożenie kosztów utrzymania nie dało się jednakże jeszcze zauważyć. Szukałem jego objawów w sferze najbardziej czułej — t. j. drobnych urzędników o stałem uposażeniu. Stoi to być może w związku i z tem, że płace robocze nie uległy zwyżce.

Sfery przemysłowe nie zamykają oczu na trudności w jakich się znajdą Włochy po wojnie i po sankcjach. Nadejdzie chwila kiedy trzeba będzie zagranicy zapłacić należność i zmobilizować pieniądze na demobilizację armji. Starsi ludzie boją się tych trudności. Młodzi — około 50 lat — mówią wyraźnie: „Gospodarstwo nasze jest tak związane, że ujęcie stosunków handlowych z zagranicą w karby nie przedstawia dla Włoch dzisiejszych znacznych trudności. Rosja pokazała nam, jak się robi Wniesztorg. Czy my po wojnie zdewaluujemy lira oficjalnie, czy też damy sobie radę bez tego, dziś trudno przewidzieć, — ale już teraz możemy być pewni, że jeżeli zdewaluujemy to uczynimy to świadomie z własnej woli, a nie pod naciskiem obcych".

Szukając analogji historycznych do dzisiejszego stanu Włoch, znajduję ja w końcu XVIII wieku. Młoda Republika Francuska oburzyła cały świat kulturalny przestępstwem, które godziło w podstawy ówczesnego ustroju. Skazała na śmierć i ścięła Pomazańca Bożego. Koalicja za koalicją starała się ją obalić. Pozbawiona dowozu surowców zmuszona była Francja poszukiwać nowych ich źródeł. Na konkurs ogłoszony przez konwencję odpowiada por. Leblanc — twórca pierwszej metody fabrykacji sody. Z owych czasów pochodzi przemysłowa eksploatacja „ćwikły białej burgundzkiej" do wyrobu cukru.

Ekspansja narodu, oraz wyżycie się rasy, są zjawiskiem mało zbadanem. Istnieją ludy mądre, zasobne i pracowite, które krwawią w wewnętrznych walkach, podczas gdy ich sąsiedzi, zdolni pozornie jedynie do ślepego posłuszeństwa, wzrastają w siłę i znaczenie. Surowce przemysłowe są stanowczo bardzo ważne dla życia i rozwoju narodów, — ale nie są wszystkiem. Dynamika rasy potrafi przezwyciężyć ich brak w jednych, nie potrafi się bez nich obyć w innych okresach.

Dla nas polaków obserwacja obecnej fazy rozwoju narodu włoskiego ma szczególną wagę. Dziś idzie ferment przez większość państw Europy. Tylko u nas jeszcze cisza. „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś szczęśliwa, byle polska wieś spokojna". Czyżby ekspansja okresu Wojen i zmagań wewnętrznych wyczerpała dynamikę narodu polskiego, tak dalece, że w 18 roku niepodległości nie posiadamy jeszcze ideologji bojowej, że na wszystkich polach cofamy się, czy to gospodarczo, czy dosłownie cofamy się, przed Rusią, czy Litwą? Nigdy kresy naddniestrzańskie nie były tak mało polskie, jak za polskich rządów. Jeszcze dynamika polskiego ludu wyżywa się w sporach hagjograficznych w protokukółkach lub w jarmarcznych burdach antysemickich. Jeszcze pomysłowość nasza wysila się nie nad tworzeniem nowych bogactw a nad „kantem" lub życiem na koszt bliźnich.

Ale ten okres minie. I gdy my zaczniemy dobijać się o nasze miejsce pod słońcem, wówczas istotnie ważnem będzie dla nas, czy pracowity, gospodarny i wytrwały naród Włoski ulegnie pod presją „sankcji" czy też uzyska sankcję najwyższej władzy, jaka rządzi narodami, owej Mojre, co stanowi o losach ludzi i bogów.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

TEMPO ROZWOJU

Rozwój gospodarstwa polskiego, prowadzący do zwiększenia dochodu społecznego netto, możliwy jest do przeprowadzenia w bardzo różnych tempach w zależności od kierunku polityki gospodarczej państwa.

W naszym artykule zamieszczonym dn. 1 stycznia r. b. w „Gospodarce Narodowej" na temat t. zw. polityki strukturalnej i polityki konjunkturalnej w odniesieniu do polskiej rzeczywistości staraliśmy się podkreślić możliwie silnie moment *czasu* jako elementu niesłychanie ważnego we wszelkich koncepcjach z dziedziny rozwoju gospodarczego Polski. Stwierdziliśmy, iż przy prowadzeniu samej tylko wyłącznie polityki konjunkturalnej t. j. w oparciu się o *obecnie istniejącą* strukturę gospodarczą kraju można liczyć w rezultacie na posuwanie się po linji rozwoju gospodarczego, niesłychanie wolne. Przeciwstawiliśmy tej koncepcji, koncepcję polityki o celach strukturalnych, którą określiliśmy jako „pomijanie w rachubach polityczno-gospodarczych *wszelkich* momentów o charakterze konjunkturalnym — t. zn. wszelkich takich celów, które mierzą w doraźne i powolne narastanie dochodu społecznego". Postępowanie takie miałoby swą rację w założeniu, iż po pewnym czasie dochód ten począłby wzrastać *szybciej*. Mamy więc jakgdyby do wyboru dwie podstawowe drogi: jedną na płaszczyźnie najczystszej ewolucji, którą określamy zgóry jako drogę powolną, drugą — „rewolucyjną" (rozumie się — w odpowiedniem znaczeniu tego słowa), która, zdaniem naszem, tempo to przyśpiesza. Problem, jak widać, leży w *czasie*. I o nim właśnie mamy zamiar obecnie pomówić dokładniej.

Aby dowieść słuszności naszej tezy, musimy *przedewszystkiem* dowieść prawdziwości przesłanki, na której się opieramy. Dlaczego — mianowicie — twierdzimy, iż rebus sic stantibus, bez wyraźnych zmian w strukturze naszego gospodarstwa narodowego, dochód społeczny musi wzrastać wolno? Skąd ten pesymizm? I czy przypadkiem nie jesteśmy zasugerowani anormalnością dzisiejszej kryzysowej sytuacji, która przecież nie może trwać wiecznie?

Mamy wrażenie, że — nie. Przeciwnie nawet — sądzimy, że bez większych trudności dowieść się nam uda, iż istotnie bez prowadzenia w Polsce polityki o celach strukturalnych wzrost dochodu społecznego musi być u nas niesłychanie powolny.

Wzrost dochodu społecznego w jego całokształtcie jest wzrostem zarówno tej jego części, która ulega spożyciu przez ludność, jak i tej, która pozostaje niespożyta doraźnie. Jasne jest, iż *szybkie* wzrastanie dochodu społecznego polega przedewszystkiem na stosunku wzrostu obu tych jego składników. Spożycie może przez pewien czas wzrastać nawet dość szybko, dopóki tempo wzrostu drugiego składnika — czyli poprostu mówiąc akumulacji kapitału rzeczowego — nie pocznie wzrastać conajmniej równie silnie, brak substratu dla powiększania tempa całości. Dlatego też uważamy, iż zagadnienie akumulacji kapitału jest w Polsce zagadnieniem centralnem. Od kształtowania się jej właśnie zależy wszystko. Jakżeż się ona przedstawia?

Nie mówimy, oczywista, o latach ostatnich. Poprostu „eliminujemy kryzys", jakkolwiek wielu zarzuci nam, że czynimy tu zbyt pochopnie ustępstwo. Dla niektórych kryzys wycisnął swe piętno i na strukturze gospodarczej kraju, osłabiając jego organizm *trwale* i utrudniając przez to nawet „normalny" powrót do sytuacji wyjściowej z lat przedkryzysowych. Nie chcemy dyskutowa na tej płaszczyźnie. Przyjmujemy, że w miarę poprawy konjunkturalnej dochodzimy kiedyś do tej sytuacji, jaką mieliśmy w 1929 r. I tu właśnie stawiamy sobie pytanie: co dalej?...

Według obliczenia pp. Landaua i Kaleckiego (Szacunek dochodu społecznego w 1929 r.) akumulacja kapitału brutto t. j. inwestycje w szerokiem znaczeniu tego słowa, przyrost zapasów towarowych w kraju i saldo wymiany towarów oraz usług z zagranicą — w sumie wyniosły ok. 2,1 miljarda zł. W stosunku do całości dochodu społecznego było to niezbyt wiele, zważywszy, iż według tych samych obliczeń wyniósł on (wraz ze spożyciem naturalnem wsi) ok. 26 miljardów zł. Dochód konsumowany wynosił więc w całości dochodu społecznego aż 92%. W roku najwyższej naszej konjuktury akumulowaliśmy więc stosunkowo niewiele.

Jak ta akumulacja wygląda, jeśli chodzi o jej źródła? Według ciągle tych samych obliczeń owe 2,120 milj. zł. dochodu akumulowanego rozpadły się na 1,420 milj. zł. akumulowanych przez państwo, samorządy i ubezpieczalnie społeczne, dalej — 380 mil. zł. akumulacji kapitału zagranicznego i ok. 320 milj. zł. akumulacji prywatnego kapitału krajowego.

Wyłączmy najrzód z naszych rozważań kapitał zagraniczny. Nie dlatego, abyśmy nie doceniali jego wartości w dziele rozwoju gospodarczego kraju. Nie piszemy tu exposé rządowego i nie mamy zamiaru zatem w żadnej mierze „owijać w bawełnę" naszego stosunku do tego kapitału. I dlatego też — zupełnie szczerze — musimy w zagadnieniu kapitału zagranicznego w Polsce rozróżniać moment istotny od „politicum". Kapitał zagraniczny jest dla nas wysoce pożądany, ba — nawet nieomal konieczny, gdyż przypływ jego właśnie znakomicie *przyśpiesza* proces rozwoju gospodarczego w kraju, który własnego kapitału posiada bardzo niewiele. Nie ulega też dla nas wątpliwości, iż w miarę ograniczenia działalności kapitału zagranicznego w Polsce do ściśle gospodarczego zakresu, w miarę zadawalania się przezeń normalnemi zyskami, na które w kraju uboższym może liczyć inwestycja kapitału kraju bogatszego problem cały, tak emocjonalnie w tej chwili traktowany, stępi swe ostrze. Nie o tem jednak w tej chwili mówić zamierzamy.

Chodzi nam *przedewszystkiem* o dwa pozostałe

źródła akumulacji kapitału rzeczowego w Polsce: państwo z instytucjami publicznemi — i kapitał prywatny. Widzimy, że w 1929 r. stosunek ich akumulacji przedstawiał się jak 9 do 2. Akumulacja „publiczna" przewyższała zgórą czterokrotnie prywatną. Nawet, gdyby obliczenia szacunkowe akumulacji prywatnej były — jak zastrzegają się sami ich autorzy — niezupełnie ścisłe, nic nie zmieni faktu, że olbrzymie „gros" akumulacji w Polsce leżało przed kryzysem w zakresie gospodarki publicznej.

A jak będzie wówczas, kiedy powrócimy z powrotem do przedkryzysowego punktu wyjścia? Czy ten stosunek się zmieni? Jeśli tak — to tylko w kierunku *dalszej rozpiętości* na korzyść akumulacji publicznej. Gospodarka publiczna w Polsce z konieczności w okresie kryzysu musiała wykazać większą odporność od prywatnej. Ale nie zapuszczajmy się w gąszcze dyskusji „etatystycznej".

Bo w naszem zagadnieniu dochodzimy już do sedna sprawy. Jeśli uznamy akumulację kapitału rzeczowego jako najbardziej istotny czynnik w powiększeniu się dochodu społecznego — zwłaszcza, jeśli chodzi o *tempo* jego wzrastania, to zmuszeni jesteśmy do postawiania sobie pytania, czy tego rodzaju akumulacja, jaką mieliśmy przed kryzysem i jaką w jeszcze bardziej jaskrawej formie spodziewamy się zobaczyć po kryzysie jest istotnie akumulacją *najszybszą*, powodującą *najszybsze* wzrastanie dochodu społecznego?...

I na to odpowiedzieć musimy — przecząco. Nie, akumulacja ze źródeł w przeważnej mierze publicznych jest akumulacją *powolną*. Gospodarka publiczna nie jest obliczona na zysk. Akumulacja jej posiada cele w przeważnej mierze pozagospodarcze. Te cele sprawiają, iż rosnąć szybko nie może. A przez to, mając na względzie udział jej w akumulacji ogólnej, musimy stwierdzić, że i w całokształcie swym akumulacja kapitału rzeczowego w Polsce nie będzie tą, która spowoduje najszybszy z możliwych „rebus sic stantibus" wzrost dochodu społecznego.

***

Powstaje teraz pytanie: jak temu zaradzić? Odpowiedź *może* przyjść natychmiast. Recepta na rozwój gospodarczy kraju w myśl założeń prywatno-kapitalistycznych jest aż nadto dobrze znana. Jest wypróbowana w skutkach gospodarczych. Czy aby tylko jest objektywnie możliwa do zastosowania w obecnych warunkach?

Zagadnienie, które poruszamy w sposób możliwie najbardziej syntetyczny, pasjonuje opinję publiczną oddawna. Ale z natury pasjonuje ją refleksami odcinkowemi. Takim odcinkiem jest problem „etatyzm czy inicjatywa prywatna". Takim też są zagadnienia ubezpieczeń społecznych „jako takich", ustawodawstwa robotniczego, umów zbiorowych i t. d. i t. d. Jest to zatem w sumie olbrzymie zagadnienie interwencjonizmu państwowego we wszystkich nieomal jego rozgałęzieniach, interwencjonizmu, który z natury rzeczy zmienia i ogranicza swobodę gospodarowania „czystego" kapitalizmu, ograniczając przez to jego możliwości dochodowe.

Możnaby więc sobie teoretycznie powiedzieć, że, jeżeliby z gospodarstwa prywatnego zrzucić cały ten balast, który go obciąża ze strony interwencjonizmu państwowego, dochód gospodarstwa tego począłby wzrastać szybciej, akumulacja poszłaby jego śladem — i Polska, używając tutaj już najdalej idącego skrótu, poczęłaby dopędzać wysokokapitalistyczne kraje świata w rozwoju gospodarczym *po tej samej drodze*, którą szły one w ubiegłem stuleciu.

Czy taka droga — droga „poprzez kapitalizm" — jest praktycznie możliwa? Wiemy dobrze wszyscy, że — nie. Nie jest możliwa dlatego przedewszystkiem, że znaleźliśmy się *zbyt blisko* Europy zachodniej. W gruncie rzeczy bowiem zagadnienie sprowadza się do tego, iż Polska, kraj niesłychanie jeszcze odległy od poziomu gospodarczego Europy zachodniej, sąsiaduje z nią „duchowo" (prasa, radjo, komunikacja) tak blisko, iż wzory zagraniczne stoją każdemu z nas przed oczyma. Mógł kapitalizm brytyjski wzrastać przed przeszło wiekiem na trupach nietylko „coloured men" w kolonjach ale własnych dzieci, duszonych pyłem wełnianym w manufakturach Zjednoczonego Królestwa, ale w Polsce, Bogu dzięki, tego rodzaju eksploatacja już dziś byłaby niemożliwa. Okres „wczesnego kapitalizmu" w pojęciu swobody wyzysku przedsiębiorcy mamy już u nas poza sobą, choć gospodarstwo narodowe nie wyciągnęło zeń tego pożytku przynajmniej, co gospodarstwa Zachodniej Europy. Nikt nie usiłuje przekonywać, że poziom życiowy klasy pracującej jest w Polsce nietylko dobry ale chociażby znośny. Ale wiemy, że małorolny posiadacz czy bezrolny o takim nawet poziomie marzyć nie może. A i to „zdobycze klasy robotniczej" stawiają przecież granice kapitalistycznej swobodzie. Nie — po drodze „czystego kapitalizmu", po drodze wyznaczonej rozwojem zachodnio - europejskich mocarstw gospodarczych Polska *już iść nie może*.

Nie może iść po niej zresztą nietylko ze względów socjalnych. Inny jest zakres działalności państwa dziś niż był przed wiekiem. Inne obciążenie podatkowe niż w dwudziestych czy trzydziestych latach ubiegłego stulecia. Inne możliwości ekspansji dla śmiałego i przedsiębiorczego kapitalisty. Okres zdobyczy kolonjalnych pozostał dawno już poza nami, handel międzynarodowy się kurczy. A, jeśli nawet pocznie znów wzrastać, nie my będziemy tymi, którzy wysforują się nim na czołowe miejsce.

A więc? Jeśli nie możemy prowadzić polityki czystego kapitalizmu, czy należałoby wyciągnąć stąd wniosek, że podniesiemy interwencjonizm do zasady i poczniemy skłaniać się coraz to bardziej w kierunku jakiegoś kapitalizmu państwowego? Czy też sprobujemy lawirować — jak obecnie — pomiędzy jedną i drugą konsepcją, utrzymując kapitalizm prywatny przy życiu, ale ograniczając coraz to wyraźniej jego swobodę działania?

W tem leży, naszem zdaniem, sedno sprawy. Być może, mylimy się, ale wydaje się nam, iż obecny przejściowy okres — właśnie dlatego, że jest przejściowy — nie może trwać zbyt długo. Zaawansowanie się w jedną czy drugą stronę musi prędzej czy później nastąpić. Mówiliśmy już, że wątpimy, czy nastąpi ono w kierunku „czystego" kapitalizmu. Ale wiemy skądinąd, że i „czysty" kapitalizm państwowy nie jest tym ideałem, do któregoby dążyć należało. Wydaje się nam, iż tak rozpowszechnione (i nadużywane bez zastanowienia) twierdzenie, iż Polska musi wypracować jakąś *własną* koncepcję swego rozwoju

gospodarczego i społecznego nie jest pozbawione głębokiego sensu. Zajęci stawianiem zrębów państwa, spóźniliśmy się w rozważaniach na temat jego treści wewnętrznej. Widzimy wskutek tego przed sobą doświadczenia innych, że nie odpowiadają nam one całkowicie, nic w tem dziwnego. Ale poczynamy rozumieć jednocześnie, że bez jakiejś *wyraźnej zmiany* w koncepcjach państwowotwórczych zbyt daleko zajść nie sposób, że droga, pozornie podobna do tej, którą szły przed wiekiem bogate kraje Europy zachodniej, a którą — zdawało się — idziemy, *nie jest już tą drogą*, ale... bezdrożem.

Powracając do naszych gospodarczych założeń, poczynamy sobie zdawać sprawę, iż akumulacja kapitału i wzrost dochodu społecznego przy obecnym kierunku koncepcji polityczno - gospodarczych musi być z konieczności *niesłychanie powolny*. I, że — zważywszy na to wszystko, co powstaje i rośnie u naszych najbliższych sąsiadów (i militarnie... i nie militarnie) powolnym być *nie może*.

I teraz pozostaje nam tylko postawić pytanie, na które nie chcemy nawet dawać odpowiedzi. Pytanie brzmi: czy wobec *szczególnie trudnych* (objektywnie) warunków akumulacji kapitału przy obecnej strukturze gospodarczej Polski, warunków, które sprawiają, że akumulacja ta *musi* iść naprzód bardzo powoli, można znaleźć jakieś wyjście, któreby — znów w zgodzie z postulatami ogółu społeczeństwa, i to zarówno gospodarczej jak i społecznej czy politycznej lub militarnej natury — mogło *przyśpieszyć* to tempo, umożliwiając temsamem *szybsze* narastanie dochodu społecznego?

Mówiąc prościej, argumentowalibyśmy w sposób następujący:

1. Nie możemy „doganiać” kapitalizmu zachodnio-europejskiego metodami, któremi on sam się *tworzył*. Nie mamy potemu *możności* — ale i pozatem *chęci*. Możemy tylko używać tych metod, jakich on sam używa *obecnie*, kiedy już wyrósł i kiedy mu się swobodę działania ogranicza. Dla niego — oznacza to skurczenie olbrzymich zysków, dla nas — hamowanie tempa rozwoju.

2. A jednocześnie nie możemy się rozwijać *wolno*. Nie możemy dlatego, że najprzód osłabia to naszą siłę odporną wobec sąsiadów, następnie — pogłębia rozdźwięki psychiczne pomiędzy utrzymywanym ciągle na poziomie wczesnokapitalistycznym „dołem” i stosunkowo zbyt daleko zaawansowaną w stosunku doń „górą”, wreszcie — odbija się wprost na naszych poza-gospodarczych wartościach jako narodu (analfabetyzm, przestępczość, niski poziom moralny i t. d.

Istnieje więc dylemat, w skład którego wchodzą trzy elementy: zasada strukturalnego „rebus sic stantibus”, niemożność szybkiego rozwoju gospodarczego i... niemożność powolnego rozwoju gospodarczego...

Dla naszej tezy, o której mówiliśmy na tem miejscu przed dwoma miesiącami, co do konieczności prowadzenia w Polsce polityki o zasięgu strukturalnym— dylemat w tem sformułowaniu jest aż nadto wymowny.

ANDRZEJ FALK

NA DZISIAJ CZY NA JUTRO?

Polityka strukturalna jest niczem innem, jak pomijaniem w rachubach polityczno-gospodarczych wszelkich momentów o charakterze konjunkturalnym — t. zn. wszelkich takich celów, które mierzą w doraźne i powolne narastanie dochodu społecznego (T. Łychowski: „Polityka konjunkturalna” — „polityka strukturalna” i polska rzeczywistość — G.N.” Nr. 1/1936 r.).

O przemilczaniu w polskiej polityce gospodarczej i — co gorsza — w polskiej publicystyce zagadnienia przebudowy struktury społeczno-gospodarczej pisano na tych łamach od pierwszego numeru „Gospodarki Narodowej“. Jak dotąd — bezskutecznie.

Milczenie czynników politycznych, milczenie Rządu można zrozumieć, co jeszcze nie znaczy: przebaczyć. Ale nie sposób zrozumieć, a tem mniej darować, gdy w społeczeństwie dokoła omawianej sprawy rozsnuwa się welon ciszy i zapomnienia. Unikanie jak ognia dyskusji na temat struktury możemy sobie tłomaczyć chyba tylko obawą przed ich zwekslowaniem na tor rozmów o... obaleniu dzisiejszego ustroju, aczkolwiek z drugiej strony trudno zaprzeczyć, iż przeciwników tego ustroju jest — sądząc po wypowiedziach w prasie legalnej — znacznie więcej, aniżeli obrońcy. Nie chcemy wpadać w przesadę, ale skłonni jesteśmy w przemówieniach p. wicepremjera Kwiatkowskiego, mówiącego o konieczności *przebudowy organicznej*, widzieć pewien asumpt do zagadnienia struktury społeczno-gospodarczej. Byłoby to niejako skonstatowanie, że i „w Grenadzie zaraza...“

Przemówienia — przemówieniami, a psychiki „człowieka gospodarującego“ (tak obywatela, jak i urzędnika) wcale się nie przebudowywuje, wcale się jej na momenty struturalne nie nastawia. Co tu dużo gadać: obowiązuje zasada (tak jest: zasada) *doraźności* w akcji społecznej i akcji rządowej. Na dzisiaj *nie* na jutro.

Przykładem najbardziej jaskrawym i najgłębiej wchodzącym in „medias res“ jest — budżet. Jakiej on już nie przechodził ewolucji, ilu nie podlegał cięciom, przeróbkom i przekształceniom! A mimo to jest on deficytowy, pomimo, że preliminarz zamyka się nadwyżką. Ale nawet gdyby rzeczywistość pokrywała się z teorją, to i tak nie można zaprzeczyć, że równowaga budżetu osiągnięta została kosztem naruszenia równowagi w funkcjonowaniu aparatu państwowego. Dlaczego tak jest — zaraz wyjaśnię.

Państwo, jako organizm wyższego rzędu, obowiązane jest do spełnienia szeregu specyficznych funk-

cyj. Dba o obronę kraju, o oświatę, o porządek publiczny etc. Należy przypuszczać, iż obrona kraju stoi na wysokości zadania, w każdym bądź razie jakościowo nie pozostawia nic do życzenia. Czy tak samo dzieje się pod względem ilościowym — „sudit'nie nam", chociaż na tle powszechnego tempa zbrojeń nasz np. przemysł samolotowy i samochodowy lub wyszkolenie społeczeństwa w lotnictwie i obsłudze trakcji motorowej czynią wrażenie jeszcze zbyt skromne.

Gorzej, zupełnie źle jest z jakością i ilością oświaty. Szkolnictwo powszechne cierpi nietylko na brak szkół dla 1.000.000 dzieci, ale — co gorsza — tym szczęśliwcom, którzy się uczą, wydziela się naukę w skąpych dawkach, bo przecież normalnym typem szkoły powszechnej jest szkoła o 2 oddziałach. Mało tego: jaka jest wartość nauki, kiedy dzieci idą do szkoły po kilka i kilkanaście km. dziennie, kiedy na 1 nauczyciela przypada ponad 50 uczniów i kiedy brak jest środków na niezbędne pomoce?... Przecież w państwowych gimnazjach utrzymanie sekretarza szkoły spadło na barki Opieki Szkolnej czyli, poprostu, rodziców. Przecież obciążanie gmin kosztami mieszkań dla nauczycieli równa się przerzuceniu na samorząd obowiązków, należących jako żywo do państwa. Dlatego też powiedzieliśmy wyżej, że budżet jest deficytowy: wydatki wykazane nie obejmują tych zobowiązań, jakie ciążą na państwie, jako takiem.

A porządek publiczny i wymiar sprawiedliwości? — Więzienia przepełnione, policja przeciążona, a sprawy w sądach zalegają już nie miesiącami, a latami. Obywatel rozgorycza się na działalność administracji, administracja robi, co może, ale niewiele może: stosy papierków rosną, ilość zatrudnionych urzędników i ich pobory — maleją. Jeszcze jedno zjawisko „nożyc", których skutki obywatel odczuwa na swojej skórze i na swojej portmonetce (żeby nie powiedzieć: pugilaresie, bo tu chodzi nie o złotówki, a o dziesiątki złotych).

Budżet państwowy jest za wysoki, bo nadmierne są zadania, które państwo sobie na kark zwala i które obywatele państwu podtykają co chwila. Rola państwa w naszem codziennem życiu jest przesadzona. Poprostu fałszywe jest samo założenie tej roli: w Anglji wierzy się każdemu ,ale, gdy kto zawiedzie zaufanie ze strony państwa, czeka go marny los — w Polsce nie ufa się nikomu i dla udowodnienia, że się nie jest „wielbłądem", obywatel musi obejść kilka urzędów, t. zn. te urzędy muszą istnieć; zato kara za złamanie zaufania jest u nas b. niska. Jeżeli zaś państwo zorjentuje się, że ten biurokratyczny aparat jest za duży i za ciężki, to nie likwiduje go ani jego przyczyn, tylko — i to bez dobrodziejstwa inwentarza — odstępuje samorządowi terytorjalnemu i gospodarczemu. W ten sposób zło pozostaje nadal złem, a na obrazku widzimy strusia, chowającego głowę w piasek.

Strusią politykę możnaby nazwać jeszcze inaczej: polityką robienia półgębkiem. Istnieje w naszym aparacie jakaś dziwna niechęć, jakgdyby płynąca ze zmęczenia czy sceptyzmu, do stawiania kropek nad i. Słowo: radykalizm zostało radykalnie wykreślone ze słownika naszej działalności. Pod pozorem objektywizmu, przypominającego — jako żywo — sąd salomonowy, pobiera się decyzje *połowiczne*, a i to przy ich realizacji wykonywa się przez ostrożność tylko część, nigdy całość decyzji. Akcja oddłużeniowa w rolnictwie, która zabiła kredyt rolny, a rolnikowi nie spędziła zmory bankructwa, jest przykładem nader charakterystycznym. Stworzono „trójkąt bezpieczeństwa" i warunki, sprzyjające lokowaniu się w nim przemysłu, po to, by w praktyce uzależnić ten przywilej od takich trudności, że nikt — prócz państwa — nie kwapi się z industrjalizacją „trójkąta". Popiera się Gdynię, ale rozwój miasta i handlu portowego krępowany jest w imię moralności i sprawiedliwości, dzięki czemu nie zarobi tam nietylko 1 hochsztapler, ale i 10 uczciwych. Do dziś dnia niema nawet cienia programu dla Ziem Wschodnich, bo istnieje obawa przed *wyraźnem* i odrębnem traktowaniem spraw tamtejszych (a może przed kompromitacją, jaką przyniosłoby naśladowanie stosunku do Gdyni i „trójkąta bezpieczeństwa"?).

Drugiem „tabu" jest w Polsce planowość. żeby ktoś nie pomyślał, że idziemy „nalewo", że zbliżamy się do ustroju sowieckiego; żeby nie wypłoszyć kapitałów zagranicznych. Ale planowość jest konieczna, bo tu chodzi o porządek i jasność sytuacji, a nie o zmianę ustroju. Państwo reprezentuje dzisiaj ca 17% obrotu przemysłowego i handlowego w Polsce, a mimo to poomacku, z dnia na dzień, jak się da lub jak się komu uda. „Cechą polskiego etatyzmu jest, że się nikt do niego nie przyznaje... Słyszeliśmy wielokrotnie oficjalne zapewnienia, że rząd jest przeciwny etatyzmowi, a istniejący etatyzm powstał wbrew woli rządu" [1]). Istnieje, etatyzacja idzie u nas po linji najmniejszego oporu i pod naciskiem *przypadkowych* konieczności, bez próby wyczerpania innych środków i dodajmy — wbrew instrukcjom technicznym (bo nie programowym) samego rządu. W etatyzmie nie było i niema żadnego planu, a *bezplanowy etatyzm* jest gorszy od planowego, który musi mieć jakieś zasady i wytyczne. powszechnie znane i *powszechnie obowiązujące*. Etatyzm bezplanowy lawiruje pomiędzy oficjalnem zaprzeczeniem i oportunistyczną afirmacją, a obywatel nie wie, czy mu jutro pod bokiem nie wyskoczy sztucznie uprzywilejowany zakład państwowy ,nie mający — jako żywo — nic wspólnego z obroną kraju w sensie bezpośrednim

Polityka „półgębkiem" i „od wypadku do wypadku" czyli polityka doraźnej konjunktury może być usprawiedliwiana (co jeszcze nie znaczy: usprawiedliwiona) warunkami zewnętrznemi. Mówi się, że żyjemy na wulkanie, że dokoła nas narastają nieprzewidziane trudności, że jesteśmy zależni od falowań międzynarodowej konjunktury etc. Niewątpliwie, daje się w ostatniem pięcioleciu zaobserwować jakaś astma, jakiś brak tchu w naszych poczynaniach gospodarczych. Dlatego też t. zw. radosną twórczość schowano do kosza, jakgdyby z obawy, że nam nie starczy sił do szeroko zakrojonej polityki gospodarczej. Ale, o ile ówczesna „radosna twórczość" potęgowała w sposób niekoniecznie zdrowy optymizm społeczeństwa i pchała do bezsensownych nieraz eksperymentów, o tyle obecnie zapanowała „smutna bierność", minorowe: „durchhalten", modły w stroju pokutnym. A trzeba dodać, że ówczesna ekspansja w okresie „prosperity" miała miejsce w okresie wy-

[1]) J. Poniatowski „Kompromis i oportunizm" „Gosp. Nar." Nr. 2/1936 r.).

soce absorbujących tarć czy walk rządu z sejmem, kiedy zdawało się, że momenty polityczne nie pozwolą na stosowanie akcji długofalowej. Okazało się wprost przeciwnie: wymienione trudności jakgdyby zdopingowały rząd do szeroko pomyślanej roboty, w której było dużo błędów (errare humanum est), ale także dużo patosu i — *mitu społecznego*. Dzisiejszy kurs deflacyjny czy quasi-deflacyjny pozbawiony jest tego motoru psychicznego i, co więcej, społeczeństwo, zaciskając pasa (co nie jest samo przez się błędem), poddaje się procesowi deflacji (kurczenia się) ekspansji myślowej i twórczości zorjentowanej na dzień jutrzejszy. I mylą się ci, którzy od inflacji wymagają wypracowania mitu społecznego, mylą się, bo przy ożywieniu inflancyjnem nie jest potrzebny doping (może być nawet szkodliwy), gdyż ludzie zajęci są „zbijaniem grosza". Mit społeczny jest nieodzowny właśnie wówczas, gdy „kiszki marsza grają": ofiary z dnia dzisiejszego muszą mieć smak słodyczy jutra.

Tylko, że wtedy na stół niezliczonych konferencyj międzyministerjalnych weszłoby zagadnienie naszej struktury społecznej i gospodarczej...

WŁADYSŁAW DIAMAND

O SENS STOSUNKÓW GOSPODARCZYCH Z ZAGRANICĄ

Polski nie stać na darowanie 300 miljonów złotych.

Niema nic złego, coby na dobre nie wyszło. — Z tego punktu widzenia dobrze, a nawet bardzo dobrze się stało, że koleje polskie padły ofiarą polityki lekceważenia płynności płatniczej naszych kontrahentów zagranicznych. Nareszcie znalazł się dzięki temu w Polsce ktoś, kto mógł energicznie powiedzieć „dość tego lekceważenia", kogo nie wystarczało łaskawie wysłuchać bez odpowiedzi, jak dziesiątki innych poszkodowanych, ale z kim trzeba będzie usiąść do stołu i gruntownie punkt po punkcie, w solidarnej współpracy, przestudjować wszystkie strony zagadnienia, wszystkie możliwości naprawy zła.

Był bowiem czas najwyższy, by w polityce normujące polskie stosunki gospodarcze z zagranicą, zaczęto respektować nie tylko cyfry statystyk bilansu handlowego, by pojęcie bilansu płatniczego zaczęto rozumieć szerzej, jak tylko przez okienko zagadnień transferu dewizowego, by nareszcie zaczęto w gospodarstwie polskiem wobec zagranicy stosować tesame normy racjonalnej kalkulacji, jakie obowiązują każdego zwykłego przedsiębiorcę.

Dzięki temu, że Niemcy zatrzymały wielką bardzo część kapitałów obrotowych kolei polskich, że co miesiąc wyciekała krew obrotowa kolei po 5 do 7 milionów i że zebrało się tego już okrągło 70 milionów, dzięki temu że straty te zmusiły nareszcie ministra komunikacji do odrzucenia wszelkich ubocznych względów i względzików, nareszcie rozproszono mgły jakby umyślnie dotąd wytwarzane dookoła wstydliwego odcinka naszych stosunków gospodarczych z zagranicą. I oto nagle społeczeństwo polskie, przyzwyczajone do tego, że nędzę polską tłumaczą brakiem kapitałów i niemożnością otrzymania zagranicznych poważnych kredytów dowiedziało się, że Polska sama posiada zagranicą poważne bardzo kapitały, że część kapitałów tych obecnie chciałaby wrócić do kraju ale że ludzie i przedsiębiorstwa ponoszą kolosalne straty z powodu lekceważenia systematycznego tych spraw przez naszą własną politykę stosunków z zagranicą. — Społeczeństwo nagle dowiedziało się, że Niemcy trzymają w swych rękach poza milionami kolei polskich jeszcze dobre kilka milionów za dostawy towarowe z Polski, że w miarę jak nam spłacają powolutku dawne długi rośnie albo konieczność kurczenia wywozu albo obawa powstania nowych zamrożeń polskich należności, że ponadto obywatele polscy posiadają w Niemczech około 150 — 200 000 000 zł. kapitałów zainwestowanych, które to kapitały Niemcy systematycznie i konsekwentnie bez żadnego dotąd z naszej strony przeciwdziałania, usiłują likwidować bez odszkodowań, używając sum płynących z tej likwidacji na forsowanie swego wywozu, a pośrednio i na zbrojenia. Dochody płynące z tych nieruchomości zatrzymuje się na Sperrkontach, które w wymyślny sposób w lwiej części są konfiskowane. Przy sprzedaży objektu pobierane są specjalne podatki sięgające do 30% wartości, stosowane są sztuczne obciążenia, a ostatnio stworzono nawet coś w rodzaju urzędu do wyłapywania podobnej własności. — Polska to wszystko dotąd cicho tolerowała, mając u siebie więcej objektów własności niemieckiej większej wartości, aniżeli Niemcy naszych objektów.

Ale nietylko z Niemcami mamy kłopoty płatniczo-kapitałowe. Sojuszniczka nasza Rumunja nie zapłaciła jeszcze za towary dostarczone jej w latach 1934 i 1933 oraz wcześniejszych. Zatrzymuje ona u siebie kapitały obrotowe polskich dostawców, którzy z braku możności upłynnienia tych kapitałów przechodzą wielkie trudności. Jest tam takich należności około 7 milionów. Nie uwzględniając potrzeb dawnych tych dostawców polskich, polityka nasza zawarła z Rumunami układ, który im pozwalał spłacać to zadłużenie przez 5 do 10 lat, zupełnie zapominając, że rozchodzi tu się o polski kapitał obrotowy, a nie inwestycyjny. Nie dość na tem. Gdy Rumuni i tego układu nie dotrzymali i nie zapłacili ani grosza, niektóre czynniki prowadzące tę politykę, zupełnie poważnie doradzały polskim wierzycielom, by ci swoje kapitały obrotowe zainwestowali w przedsiębiorstwach rumuńskich. Polityka nasza zeszła więc wtedy wyraźnie na bezdroża dekapitalizacji Polski na rzecz Rumunji. Wreszcie cierpliwość wierzycieli zaczyna się kończyć i powoli łączą się oni do wspólnej obrony. Kiedy o tem zaczęło być trochę głośno, wyszły na jaw inne jeszcze zaniedbane należności, ponoś sięgające dalszych 8 milionów złotych w Rumunji, tłukących się

gdzieś po dyplomatycznych jakoby rozmowach, należności za dawno wywłaszczone majątki ziemskie obywateli polskich i t. d.

Ale na tem nie koniec. W wielu krajach, z którymi np. mamy obrót kompensacyjny lub clearingowy i t. d., zatrzymane zostały dalsze poważne należności polskie. Trzymają nasze pieniądze Włosi i Łotwa, Hiszpanja z dostaw gotówkowych zrobiła sobie na nasz koszt długoterminowy kredyt, a nawet w Południowej Ameryce ugrzęzły jakieś kapitały polskie i nie są odzyskane jeszcze. Razem należnościowych zamrożeń ma Polska około 100 milionów zł.

Jak to się stało, że kraj tak ubogi w kapitały, tak hojną ręką godził się dotąd na niespodzianki, rozdawnictwo i rozpożyczanie swoich kapitałów innym?

Dlaczego w ostatnich latach podpisano i ratyfikowano szereg umów handlowych, które spraw tych nie załatwiały, lecz pozostawiały je na uboczu?

Przyczyn takiej polityki szukać należy przedewszystkiem w tem, że hołdowano ostatnio zasadzie, że głównym celem polityki gospodarczej z zagranicą jest to, „by interes szedł, by się tylko kręcił". Nastawienie to dziwnie przypomina hasła, jakim hołdowały, ku swej późniejszej zgubie liczne przesiębiorstwa w Polsce w okresie bezpośrednio poprzedzającym kryzys. — Czyżby ludzie, którzy wtedy w pracy we własnych warsztatach nie zdali egzaminu życiowego, zaczęli nadawać teraz ton gospodarczej polityke kraju? I oni i polityka nasza w postawieniu sobie hasła przewodniego popełnili błąd. Prawidłowe hasło nie brzmi „byle interes szedł, byle się kręcił". Prawidłowe hasło brzmi „byle dobry interes szedł, byle dobry interes się kręcił". Jest w tem zupełnie zasadnicza różnica. Zapominaliśmy sprawdzić, czy kręcimy dobry lub zły interes.

Dlaczego tak się stało? Zapewne nie ze złej woli. Stało się tak dlatego, że sprawy polskich stosunków gospodarczych z zagranicą usunięto z pod kontroli i krytyki publicznej i oddano w opiekę zamkniętego grona ludzi, w znacznej części narzuconych życiu gospodarczemu na jego przedstawicieli bez własnej jego woli. Zamknięty krąg ten osłonił wszystko zasłoną dymową tajemnic i nieprzejrzystego podziału kompentencji i odpowiedzialności, a życie gospodarcze tracić będzie swój czas na rozwiązywanie zadawanych szarad i łamigłówek. — Ludzie z kręgu i z poza kręgu toną dosłownie w papierach, poświęcają swój czas urzędowy i pozaurzędowy niezmiernie intenzywnej pracy z uszczerbkiem nerwów i zdrowia własnego i współobywateli, pracują tak dużo i tak usilnie, że nie starczy już ani sił, ani czasu na zastanowienie się nad.... sensem globalnym każdego posunięcia. Polityka gospodarcza Polski wobec zagranicy zaczyna wywierać wrażenie sztuki uprawianej dla sztuki, sztuki gubiącej się w niezmiernie pracowicie i pomysłowo konstruowanych szczegółach, nie zdolnej jednak ogarnąć sensu całości. Jest jeszcze i inna przyczyna, są nią metody urzędowania, polegającego tylko na łaskawem wysłuchaniu i przyjmowaniu zażaleń do wiadomości, bez żadnej pisemnej odpowiedzi. Pismo mogłoby się stać podstawą do prawnych roszczeń obywatela, do próby pociągania do odpowiedzialności faktycznej, a nie tylko teoretycznej. Rozwiązania czeka kilka konkretnych zagadnień. Rozwiązania te nie są możliwe według jednolitego schematu. Wymagają one indywidualizacji. Indywidualizacja dotyczyć musi kalkulacji zysków i strat, i t. p. rzeczy. Kalkulacja ta nie powinna być tajemnicą wobec społeczeństwa.

Tematu tak obszernego w jednym artykule nie sposób omówić.

Poprzestanę na krótkiem naszkicowaniu typów graficznych.

Na pierwszym planie jest sprawa należności kolejowych. Niedopuszczalną rzeczą jest, by koleje polskie musiały swoje kapitały obrotowe czerpać z rynku kredytowego, a Niemcy ich kosztem kumulowały dewizy im potrzebne m. i. także i na zbrojenia.

Jeżeliby w rokowaniach z Niemcami miało się okazać, że uzyskanie zapłaty w dewizach jest utrudnione, że także trudno liczyć na odstąpienie nam przez Niemcy jakichś realnych i płynnych własnych ich należności w krajach trzecich, to w jakiej formie jeszcze mogłaby nastąpić zapłata?

Formę zapłaty towarowej trzeba wykluczyć zupełnie. — Towarów sprowadzanych w normalnych obrotach handlowych na odmrożenia kolejowe przyjąć Polska nie może, boby równało się to zaniechaniu wogóle wywozu do Niemiec. — Rocznie bowiem narasta blisko 70 milionów złotych należnych Polsce za tranzyt. — Jest to akurat tyle, ile według doświadczeń ostatnich czasów obecnie rocznie może wynieść normalny przywóz niemiecki w obrotach kompensacyjnych, nie dlatego by Niemcy nie mogły więcej dostarczyć, tylko dlatego, że Polska niema za co więcej kupić.

Forma przywozu dóbr inwestycyjnych naogół odpada, primo dlatego że koleje nie mogą unieruchamiać swoich kapitałów obrotowych w inwestycjach, secundo dlatego, że przywóz taki miałby już pokrycie z odmrożenia prywatnych polskich kapitałów w Niemczech wartości 150 — 200 milionów złotych. Jedyną praktycznie wykonalną i słuszną drogą jest w wypadku trudności dewizowych, podobnie jak wprowadzono kompensatę towarową, wprowadzić kompensatę transportową. — Mam na myśli kompensowanie chociażby w części zamrożeń za dawny tranzyt, sumami, jakie Polska płaci korzystając z transportu morskiego i rzecznego na niemieckich statkach i berlinkach. — W roku 1934 około 18% tonnażu, jaki wszedł do portów w Gdyni i Gdańsku przypadało na statki niemieckie. Jeżeli na koszta frachtów morskich Polska rok rocznie wydaje na rzecz zagranicy 150 — 180 milionów, to 18% z tego wyniesie około 30 milionów złotych.

Tranzytu bieżącego niema powodu hamować. Za bieżący tranzyt należałoby tylko poprostu na granicy żądać zapłaty z góry od każdego pociągu lub jakiejś namacalnej gwarancji takiej zapłaty. Poco Polska ma stwarzać pozory hamowania tranzytu? — Po zlikwidowaniu zamrożeń za dawne tranzyty, suma okrętowa mogłaby clearingować część należności tranzytowych.

Poza sprawą kolejową są zamrożenia handlowe w Niemczech, wartości w przybliżeniu 10 milionów złotych. — Polska posiada wobec Niemców do spłacenia kredyty za dawne dostawy, których termin jeszcze nie upłynął. — Z sum tych pozycja handlowa dałaby się powoli wylikwidować, ale na to trzeba stworzyć jakieś przepisy, które zapobiegną spłacie tych kredytów dewizami wprost Niemcom. Pozostaje największa pozycja, szacowana na około 200 milionów złotych. Pozycja ta obejmuje zamrożenia kapitałowe

i powinna być kompensowana kapitałowemi świadczeniami, a zatem albo wymianą poprostu objektów polskich w Niemczech na objekty niemieckie w Polsce, albo przywozem takich dóbr inwestycyjnych, których Polska z braku kapitałów w normalnym obrocie nie jest zdolna w obecnym czasie sama sobie sfinansować, a które byłyby użyteczne w związku z walką z kryzysem. Największa ta pozycja jest jednak najbardziej zagrożona przepisami niemieckiemi, które zdążają do jej likwidacji. — Dlatego powinna Polska się zgóry zabezpieczyć, przez wydanie przepisu, że obywatele polscy poszkodowani przez przepisy państw obcych traktujące ich w sposób gorszy od sposobu, w jaki przepisy polskie traktują obywateli tego państwa, mają prawo poszukiwania strat i szkód na mieniu obywateli tychże państw obcych.

Słusznem bowiem jest, by ofiary na rzecz państw obcych ponosili przedewszystkiem właśni ich obywatele, a nie obywatele polscy.

O ile indywidualne rozpatrzenie wypadku zamrożeń niemieckich każe nam szukać rozwiązań przedewszystkiem w płaszczyźnie nie naruszającej bieżącego interesu, gdyż interes wywozu artykułów rolniczych za przywóz będący w większości przywozem artykułów produkcyjnych uważać można za interes dobry, to na odcinku rumuńskim jest inaczej.

Do Niemiec wywozimy towary, będące prawie w 100% owocem własnej naszej pracy i naszej ziemi. Przy wywozie tych towarów nie tracimy dewiz.

Do Rumunji wywozimy w większości towary, w skład ceny których wchodzą w dużym procencie dewizy zapłacone przez nas z trudem za surowce i maszyny potrzebne do ich wyrobu. — Wzamian dostajemy zapłatę w postaci po większej części konsumcyjno-luksusowej, jako to winogron, jabłek, orzechów, pestek dyni, słonecznika i t .d. — W obrotach dotychczasowych polsko rumuńskich jest rzeczą niemal że pewną iż interes jaki kręcimy za każdą cenę jest interesem złym, interesem dekapitalizującym Polskę. Interes ten moglibyśmy sami nieco poprawić, przez obniżenie taryf na niektóre towary sprowadzane z Rumunji, jak np. na skóry surowe, na rudy różne i t. d. A nawet i wtedy jakość interesu nie będzie zupełnie pewną. Dlatego odmrożenia te są bezwarunkowo tak ważne, że nie powinny one być pod żadnym warunkiem podporządkowywane bieżącemu interesowi kompensacyjnemu, lecz powinny być traktowane na zupełnie równych prawach, jeżeli nie na prawach większych.

Mieliśmy przykłady dwóch skrajnie odmiennych typów stosunków handlowych i w związku z tem odmiennego traktowania sprawy odmrożeń.

Na odcinku hiszpańskim, gdzie mamy i tak tylko zamrożenia czasowe, panują już jakieś pośrednie stosunki między obiema krańcowościami. — Kwestja tu może istnieć raczej tylko w płaszczyźnie tarć wsi z miastem, czyli pytania np. takiego: co ma wieś polska z tego, że za wywożone przez nią jaja miasto zjada tanie pomarańcze?

Wchodzimy stopniowo w coraz subtelniejsze zagadnienia, które ująć można wspólnem mianem ustalenia bilansu użyteczności dla Polski stosunków handlowych z poszczególnemi innemi krajami. — Otóż ustalenie takiego bilansu użyteczności, obok ustalenia bilansu płynności naszych aktywów i pasywów wobec zagranicy, obok bilansu płatniczego, a na końcu i bilansu handlowego jest rzeczą konieczną dla ustalenia czy kręcimy interes dobry lub zły, czy należy dążyć do jego rozwijania, czy kurczenia, czy zamrożenia z danym krajem należy traktować jako rzecz tak ważną, że dla niej należy ew. poświęcić część lub nawet całość interesu bieżącego, czy należy rzeczy te traktować na równym poziomie, czy też bieżący interes góruje nad sprawami zamrożeń.

Kto i gdzie w Polsce rzeczy te kalkuluje? Czy jest ktoś taki? Dlaczego życie gospodarcze nie zna jego imienia i siedziby?

Ze względu na bezrobocie miast i wsi wynoszące w Polsce do 8 milionów ludzi sprawa polskich kapitałów zamrożonych nie może być nadal lekceważona. — Kapitały te mogą oddać kolosalne usługi w budowie i organizowaniu nowych warsztatów pracy, tak bardzo krajowi potrzebnych. — Kapitały te muszą powrócić po to, by istniejące warsztaty pracy nie cherlały.

Przez złe metody pracy na tym odcinku, przez stosowanie błędnych metod srawdzania słuszności uprawianej polityki, poniósł kraj już poważne straty. — Jesteśmy za ubodzy na płacenie tak drogo za naukę kilka razy. Jedna lekcja poglądowa, jaką otrzymało społeczeństwo na odcinku sensacji zamrożeń kolejowych, powinna mu wystarczyć na to, by wszelkie sprawy zamrożeniowe otoczyło od teraz na stałe czujną swoją uwagą i krytyką.

Zamrożenia nie są epizodem, lecz wynikiem obrotów międzynarodowych, coraz bardziej się rozszerzających ograniczeń. System zamkniętego koła znawców nie zdał egzaminu życiowego. Należy stwierdzić, że nie umiało ono samo ze siebie wytworzyć automatyzmu samooczyszczania z błędów. System ten trzeba rozluźnić i udostępnić go krytyce.

Niniejszy numer „Gospodarki Narodowej“ ukazuje się z opóźnieniem spowodu częściowego strajku drukarzy warszawskich. Nr. 6 ukaże się w terminie normalnym.

U W A G I

NUDA

Nieraz przy czytaniu nawet najlepszej powieści natrafiamy na t. zw. dłużyzny. Na ustępy, które nie rażą naszych upodobań estetycznych, którym nie możemy zarzucić ani dajmy na to braków formalnych, ani fałszu psychologicznego, a które jednak nużą. Czy nużą dlatego, że są za długie, że zbytnią uwagę poświęcają drobiazgom, szczegółom? Ale przecież całe wspaniałe dzieło Proust'a jest — biorąc zewnętrznie — niczem innem, jak niekończącą się listą szczegółów, drobiazgów. Ale zamiłowanie do wielo tomowej powieści, do tegoż Proust'a czy Sagi Forsytów jest właściwe nietylko niektórym współczesnym autorom, ale i współczesnej publiczności. Renesans popularności Balzac'a — którego cała prawie twórczość jest wszak *jedną* powieścią — z pewnością opiera się także i na tym czynniku. Cóż więc jest tą dłużyzną, która rodzi nudę czytelnika, bez względu na doskonałość formy danego ustępu. Skoro już ryzykujemy wycieczkę na teren obcy czasopismu gospodarczemu, zaryzykujemy jeszcze definicję z tej obcej dziedziny. „Dłużyzną" nie jest nawet bardzo obszerny, wyposażony w masę szczegółów ustęp, leżący *na osi* utworu. Jego rozmiar, jego wyposażenie w szczegóły, to tylko kwestja metody, kwestja techniki literackiej. Dłużyzną jest obszerniejszy ustęp, któremu zasadnicza konstrukcja, logika artystyczna danego utworu, nie nadaje dostatecznej wagi. Krótka dygresja ma wdzięk dekoracyjności. Długa — nuży, bowiem uwaga nasza skoncentrowana jest na tem, co autor chciał i zdołał uczynić najistotniejszym ośrodkiem utworu, na tem, co leży „na osi". I dlatego oczekując powrotu do tego, co jest istotne, czujemy się znużeni pięknym opisem pejzażu wtedy, kiedy nie stanowi on ani malarskiego, ani psychologicznego tła istotnej akcji, czujemy się znużeni tem, co jest najbardziej nawet zręczne, ale nie dość ważne w całokształcie tekstu.

Dyskusja o etatyźmie ciągnie się w Polsce długo, jak żadna może inna dyskusja gospodarcza. Sądzićby można było, że animuje ona publicystów i opinję w wyższym niż inne problemy stopniu. Wbrew temu śmiem twierdzić, że zainteresowanie jest tylko pozorne i powierzchowne. Temat jest wdzięczny, łatwy, podatny, zawsze można napisać o nim coś ciekawego, nieraz coś nowego. I szkoła krakowska i jej zadzierzysty łódzki potomek „Polityka Gospodarcza", i p. Tadeusz Bernadzikiewicz, i grupa, ongiś dowodzona przez p. Stefana Starzyńskiego, i — słusznie czy niesłusznie — podejrzewana o pokrewieństwo z tą ostatnią, grupa Gospodarki Narodowej, wszyscy zatem, którzy czy to na płaszczyźnie naukowej analizy, czy poważnej publicystyki gospodarczej poruszyli ten problem, mieli coś do powiedzenia i z pewnością niejedno jeszcze znajdą. Kilku posłów sejmowych powtarza od kilku lat ten sam kuplet z odświerzanemi co rok cyframi, a niezmienną melodją. „Samorząd gospodarczy" perjodycznie, przynajmniej raz na rok wysyła swoją najlepszą ekipę do boju ze sklepikami szkolnemi i warsztatami więziennemi. Wódka Lasów Państwowych, niebieski lak Monopolu Spirytusowego, szczoteczki do zębów przemysłu obronnego, pułapki na myszy czy maszynki do mięsa ,albo wreszcie dwoistość pewnej wybitnej osobistości, która przewodnicząc na jednym tereme gnębi — z właściwym zresztą umiarem — etatyzm, na innym zaś toleruje etatyzowanie drzwi i okien, — dostarczają mniej wybrednym wdzięcznego pola do trafnych i zjadliwych dowcipów.

A społeczeństwo? Społeczeństwo ma także łatwy teren. Teren, na którym bez wysiłku myślowego można coś z dużą pewnością twierdzić. Teren, obfitujący w przykłady, które mówią same za siebie. Teren, który umożliwia dawanie bez ryzyka ujścia niechęci do biurokracji. Teren, służący do pokrzepiania serc . Bo to Panie Dziu w państwowych przedsiębiorstwach nie potrafią jak inicjatywa prywatna. Biedna inicjatywa prywatna. Z jej winy i nie z jej winy niema ona zbyt wielu sukcesów w latach ostatnich. Cóż za pociecha tkwi zatem w stwierdzaniu, że poza jej zakresem bywa gorzej. Leader kartelowy z dużą słusznością i z mniej przekonywującą dumą stwierdza, że wskaźnik cen jego kartelu jest bardziej cnotliwy, że obniżył się głębiej, niż wskaźnik cen monopoli państwowych. Socjalista gromi „ich" etatyzm, który „nie ma nic wspólnego z naszym etatyzmem". A biurokracja?...

Biurokracja znajduje na terenie przedsiębiorstw państwowych ujście dla niewyżytych instynktów działalności gospodarczej. Jednostki dotknięte mniej czy więcej uzasadnionym Minderwetigkeitskompleksem nisko płatnego urzędnika krzepią się tem, że *ich* przedsiębiorstwa dają nieraz gorszy wynik finansowy, niż „nasze", państwowe. Jest czego bronić. „Przedsiębiorstwa państwowe ośrodkiem postępu technicznego", „pionierem eksportowym", „wzorowym pracodawcą", i t. d.

Słowem ze wszystkich stron pisze się i mówi dużo, nieraz namiętnie, często ciekawie, jeszcze częściej z posmakiem sensacyjności. A jednak wszystko razem, cała dyskusja, to typowa „dłużyzna". Nuda.

Proszę mnie właściwie zrozumieć. Nie jest nudny niedawno zamieszczony w Gospodarce Narodowej artykuł p. Bernadzikiewicza [1]), który śmiało i z wielką prostotą określa znaczenie postulatu rentowności w przedsiębiorczości państwowej, formułuje jej cele, który wysuwa trafne w mem przekonaniu postulaty formalne w stosunku do przedsiębiorstw państwowych. Nie jest nudny artykuł p. Gottowta [2]), który wysuwa jedyną znaną mi praktyczną koncepcję zlikwidowania przedsiębiorczości państwowej na pewnym odcinku. Nie jest nudny szereg innych prac. Natomiast całość dyskusji mimo sensacyjności szczegółów i wagi zagadnienia — nuży.

Dlaczego? Bo dyskusja jako całość jest typową dłużyzną. Nie leży na osi istotnych w dzisiejszej fazie konjunktury i w dzisiejszej fazie rozwojowej Polski zagadnień. Oczywiście nie wszelka dyskusja o etatyźmie, ale taka dyskusja o etatyźmie, jaką mamy od kilku lat. I to z wyłączeniami. Wyłączam oczywiście z pod pojęcia „dłużyz-

---

[1]) „Gosp. Nar." Nr. 2/36 „Tezy o etatyzmie" T. Bernadzikiewicz.

[2]) „Gosp. Nar." 3/36. „Odpaństwowienie drukarstwa H. Jotłowł.

ny" wspomniane wyżej rozważania na temat właściwych form i sposobów prowadzenia przedsiębiorstw państwowych, względnie ich likwidacji. Wyłączyłbym również, gdybyśmy się z tem w naszej dyskusji spotkali ,analizę etatyzmu i interwencjonizmu, jako zagadnienia ustrojowego, na tle pewnej określonej problematyki socjalnej. Wyłączam oczywiście rozważania takie, jak drugi tom pracy prof. Tennenbauma o strukturze kredytowej, gdzie nie mówi się bezpośrednio nic prawie o etatyzmie poza domeną kredytową, a wyjaśnia się całość problemu.

Natomiast zupełnie jałową dłużyzną wydaje mi się dyskusja, o „etatyzmie jako takim", „o etatyzmie w Polsce", „o granicach przedsiębiorczości państwowej", dyskusja, z reguły prowadzona w oderwaniu od tła i rzeczywistości polskiej. Dyskusja, której punctum saliens tkwi w słusznem czy niesłusznem założeniu, że przedsiębiorczość prywatna jest rentowniejsza od przedsiębiorczości państwowej i, że w konsekwencji, „należy dążyć do ograniczenia przedsiębiorczości państwa do granic niezbędnego minimum". Wydaje mi się rzeczą nie do zaprzeczenie, iż lwia część wywodów na temat etatyzmu opiera się wyłącznie na tem prostem apriorycznem założeniu i na niem buduje swój apel do Państwa, aby dobrowolnie zmniejszyło zakres przedsiębiorczości.

Ten właśnie tok rozumowania uważam za jałowy, nie prowadzący do żadnych rozwiązań pozytywnych, nie leżących na osi istotnych dla chwili obecnej zagadnień. Udział Państwa w przedsiębiorczości gospodarczej jest zjawiskiem pochodnem. Zagadnieniem podstawowem dla tego pochodnego problemu jest kwestja formy tworzenia się kapitału w Polsce. Im większy udział Państwa w dochodzie społecznym, im większe rozmiary kapitalizacji przymusowej, im większa rola kapitalizacji pieniężnej w stosunku do rzeczowej, tem szersze rozmiary przedsiębiorczości państwowej. Powolne tempo akumulacji kapitału w Polsce przy naszej ambicji i wobec konieczności przyśpieszenia tempa rozwoju gospodarczego, rodzi stałą i trwałą „pokusę etatyzmu". Można uważać uleganie tej pokusie za niesłuszne, ale tem niemniej niespósób jej nie ulec w warunkach, które syntetycznie można byłoby nazwać przewaga skoncentrowanej, przymusowej kapitalizacji pieniężnej nad rozproszoną, dobrowolną kapitalizacją rzeczową.

Dopóki wolny kapitał w Polsce tworzy się w ubezpieczeniach społecznych, w P. K. O. czy Fospie, jak nas nauczył mówić prof. Tennenbaum, („Fundusze Obrotowe Skarbu Państwa"), dopóki kapitał przepływa od warsztatów produkcyjnych do instytucyj publicznych, względnie do wierzycieli w stopniu tak silnym, że warsztat wytwórczy przestaje być dobrym kredytobiorcą — walka z etatyzmem jest strzelaniem do cienia, a nie do przedmiotu, który ten cień rzuca. Ten sposób strategji naogół do realnych wyników nie prowadzi. Najzabawniejszem jest, że zwolennicy polityki faworyzującej oszczędność pieniężną i zmniejszającej zdolność kredytową wytwórców, a więc istotni sprawcy rozwoju etatyzmu, należą prawie z reguły do najbardziej zdecydowanych przeciwników przedsiębiorczości państwowej.

To głębokie nieporozumienie, leżące u podstaw dyskusji na temat etatyzmu sprawia, iż najlepiej z przedmiotem obznajmieni kombatanci anty-etatystycznego frontu sami przystępują do walki z wewnętrznym sceptycyzmem. Bo, przypuśćmy, że się wytępi to, co p. Bernadzikiewicz subtelnym i zdaje się świadomym odcieniem nazwał nie etatyzmem lecz „ przerostami etatyzmu". Przypuśćmy, że zniknie państwowy rower, karabinowa maszyna do pisania, leśna wódka, wojskowa szwaczka, pocztowy głośnik, że Państwo wycofa się z mniejszych przedsiębiorstw i ograniczy uboczną produkcję większych zakładów. Dla tych, z którymi dana wytwórczość państwowa konkuruje, będzie to bardzo wiele. Dla rozwiązania problemów takich, jak np. rewizja taryfy celnej, będzie to także stanowiło coś niecoś. Dla skarbu Państwa strata nie będzie wielka, a może, nawet przy odpłatnem zaniechaniu wytwórczości, byłby z tego pewien zysk. Ale trzon problemu pozostanie nietknięty. Trzon problemu to kwestja warsztatów zadłużonych w B.G.K. lub Skarbie Państwa na sumy miljonowe. To kwestja przemysłów kluczowych, jak hutnictwo czy włókiennictwo, to zagadnienie motoryzacji, to wreszcie zagadnienie największego koncernu finansowego, czyli B. G. K. To mówiąc krótko — zagadnienie Kapitalbildung w Polsce.

Czy są nabywcy na te kolosy, które przeszły do rąk Państwa, albo na te które przejść mogą przy pierwszem kiwnięciu palcem? Czy sumy, gromadzące się na t. zw. sztywnym rynku, sumy, które — twierdzę to wbrew lansowanej ostatnio tendencji — nie mogą być zastrzyknięte do życia prywatnego z braku dostatecznej ilości dobrych kredytobiorców, mają być skierowane wyłącznie na inwestycje nierentowne? Utopje.

Dlatego też istotną dyskusją jest dyskusja na temat form tworzenia kapitału, a mało syntetyczne rozważania o etatyzmie jako takim, są tylko marginesową dłużyzną.

c. b.

KRYTERJUM RENTOWNOŚCI

Im bardziej przedmiot gospodarujący zbliża się do typu „homo oeconomicus", tem wyłączniejszą przesłanką jego działania jest osiąganie największego zysku, najwyższa rentowność posiadanego majątku i zdolności do pracy. Rentowność jest podstawowem kryterjum dla prywatno-gospodarczej oceny celowości każdego zabiegu, odgrywa więc największą rolę w warunkach liberalnego kapitalizmu. Rola ta maleje w formacjach przed-kapitalistycznych, gdzie skromny udział obrotu rynkowego utrudnia porównywanie rentowności, kalkulacja należy do rzadkości, a zysk, wprawdzie pożądany, nie jest jedynym motorem działania. Nasz drobny rolnik osiąga często na niewystarczającym warsztacie mniejszy dochód łączny z pracy i kapitału, od tego, który zapewniłoby mu wynajęcie samej pracy. Rentowność kapitału umieszczonego w gospodarstwie może więc być przez długie lata bliska zera, albo nawet ujemna, a jednak chłop nie myśli o szukaniu dla swego kapitału lepszej lokaty, jak to czyni jego amerykański kolega.

Kryterjum rentowności słabnie także w warunkach gospodarki po-kapitalistycznej, albo późno-kapitalistycznej, nacechowanej wzmożeniem interwencjonizmu. Ten ostatni może być rozpatrywany jako reakcja obronna przeciw społecznie lub politycznie ujemnym skutkom przewagi grup gospodarczo silnych. Gdyby doraźny interes jednostki i grup zaw-

sze się pokrywał z trwałym interesem gospodarstwa społecznego, a nadto, gdyby nie było obawy zakłócenia wolnego przebiegu procesów gospodarczych przez inne czynniki pozagospodarcze, albo zgoła zewnętrzne, wówczas logiczne uzasadnienie interwencji państwowej mogłoby leżeć *wyłącznie* w płaszczyźnie pozagospodarczej. Te warunki nie są spełnione, co zmusza do stosowania interwencji także w celach gospodarczych, dla podniesienia, lub zabezpieczenia dochodu społecznego. Nie przeczy to przewadze politycznych i społecznych przesłanek interwencjonizmu. Stąd psychologicznie zrozumiałe pewne zaniedbanie kryterjum rentowności w polityce gospodarczej jednostek publicznych, co skolei niezmiernie utrudnia normalną ocenę rentowności także w przedsiębiorstwach prywatnych.

O ile zrozumiałe jest i słuszne, że rentowność nie może być w dobie interwencjonizmu jedynem kryterjum, to jednak postępowanie w pewnych wypadkach wbrew temu kryterjum nie powinno płynąć, jak w epoce przedkapitalistycznej, z nieuświadomienia kalkulacji. Ambicją współczesnego polityka nie może być nieliczenie się z efektem gospodarczym, ale świadoma gotowość poniesienia określonego kosztu dla osiągnięcia, choćby w innej zupełnie dziedzinie, określonego celu. Ponadto, polityk współczesny wie, że jego zdolność realizowania celów społecznych, kulturalnych i t. d. zależy w wysokim stopniu od środków, któremi może rozporządzać. Gdy więc środków tych ma niewiele, wówczas unika ich trwonienia, poddaje wiele innych celów celom gospodarczym, by zdobyć sobie na przyszłość zdolność ponoszenia kosztów takiej lub innej polityki.

Kraj nasz, ubogi w kapitały a bogaty w usta do nakarmienia, ma silnie ograniczone pole ponoszenia kosztów działań sprzecznych z oceną rentowności. Niektóre takie działania są jednak nieuniknione. Stąd tem większa konieczność kalkulacji rentowności w każdym wypadku, nawet wówczas, gdy decyzja będzie musiała być powzięta wbrew interesowi gospodarczemu.

Łatwiej jest żądać kalkulacji rentowności gospodarki publicznej, niż się do tego żądania zastosować. Bezpośrednia rentowność poszczególnych elementów tej gospodarki niezawsze się pokrywa, a często koliduje z interesem całego gospodarstwa narodowego, od którego przecież zależy także ogólny dochód Skarbu, a więc i przyszła zdolność manewrowania. Obliczenie skutków pośrednich jest często wręcz nie do wykonania. Nawet i w tych jednak wypadkach musiałoby się zemścić zupełne zapominanie o kryterjum rentowności. Tak n. p. niepodobna obliczyć rentowności wydatków na obronę Państwa, jednakże łatwo stwierdzić, że nikły rozmiar tych wypadków byłby sprzeczny z oceną rentowności, bo groziłby zniszczeniem całego gospodarstwa narodowego, a rozmiar zbyt wysoki uniemożliwiałby rozwój gospodarczy, zasypując źródło środków na przyszłą obronę. Świadomość obu tych faktów stwarza już możność pewnej orjentacji, stanowiącej podstawę dla decyzji.

Kryterjum rentowności inaczej musi być stosowane przez kierownika poszczególnej placówki, inaczej przez kierownictwo polityki gospodarczej. Polityka gospodarcza musi się liczyć przedewszystkiem z rentownością społeczną, rentownem będzie takie działanie, które powiększa dochód społeczny. Dla tego celu może rezygnować z najwyższej rentowności bezpośredniej poszczególnych elementów. Decyduje się na straty w wielu dziedzinach, z pożytkiem dla innych i dla całości. Niepodobna wymagać tego samego obejmowania interesu całości przez kierownika każdej placówki. Ci powinni otrzymywać wyraźne instrukcje, do czego mają dążyć w działalności gospodarczej. Taką samą anomalją byłby ów naczelnik urzędu skarbowego, który się oburzał, gdy mu zredukowano jeden etat sekwestratora „który się przecież całkowicie opłacał", jak i dyrektor przedsiębiorstwa państwowego, któryby je narażał na straty prowadząc na własną rękę politykę „popierania krajowego surowca". Nie żądamy rentowności od szkół, więzień, szpitali, ale powinniśmy od nich żądać stosowania zasady ekonomicznej, t. j. osiągania największego wyniku ściśle ograniczonym kosztem, a o ile możności — zmniejszenia tego kosztu. Kierownik przedsiębiorstwa publicznego musi się kierować oceną rentowności zupełnie podobnie, jak przedsiębiorca prywatny, natomiast będzie zależne od polityki gospodarczej, czy mu się pozwoli naprawdę zysk realizować. Można mu wyznaczyć takie warunki pracy (n. p. cenę surowca, cenę odbioru, taryfę na kolei), że nie będzie on w stanie przy największej sprawności uniknąć deficytu, pomimo to nie wolno mu na własną rękę postępować sprzecznie z interesem przedsiębiorstwa. Położenie jest tu więc prostsze, a raczej powinno być prostsze, o ile dyrektywy będą zupełnie wyraźne. Dość popularne twierdzenie, że przedsiębiorstwa użyteczności publicznej nie powinny dążyć do największego zysku, należałoby sformować: polityka gospodarcza nie powinna dopuszczać do wyzyskiwania monopolistycznej sytuacji przedsiębiorstw użyteczności publicznej na rzecz ich wysokiej rentowności. Wmyśl tej zasady miasto, albo jego władza nadzorcza wyznaczy n. p. maksymalne opłaty od uboju, a obowiązkiem kierownika rzeźni miejskiej pozostanie, przy poszanowaniu tych opłat, dążenie do osiągnięcia największego dochodu z przedsiębiorstwa.

Poważną trudność stanowi niekiedy odróżnienie trwałego i doraźnego interesu przedsiębiorstwa. Prywatny przedsiębiorca, jak wiadomo, często bywa skłonny do gospodarki rabunkowej, poświęcającej przyszłość dla teraźniejszości. Sprzyja temu zwłaszcza dzisiejsza forma spółek akcyjnych. W przedsiębiorstwach publicznych powinna oczywiście, przeważać dbałość o przyszły rozwój, jednakże i tu kryterjum właściwego kompromisu między bliższym i dalszym interesem powinno być wyznaczone przez kierowników polityki gospodarczej. W pewnem położeniu może Państwo, czy związek samorządowy zrezygnować na parę lat z dochodów przedsiębiorstwa, by zapewnić sobie jego przyszły rozwój, w innym wypadku musi mobilizować wszystkie dochody, by się uchronić od większych strat w innych dziedzinach.

Stosowanie kryterjum rentowności wymaga posiadania jakiegoś poziomu porównawczego. Wielka trudność płynie w Polsce z nieuzgodnienia poglądów, co ma być tym poziomem porównawczym. Nie mamy bowiem jednego poziomu stopy procentowej, co więcej, poziom stopy procentowej zależy nietylko od warunków i zabezpieczenia kredytu, ale od czynników przypadkowych, a przedewszystkiem od źródła kredytu. Jeśli samorząd otrzymuje pożyczkę

z Funduszu Pracy na 2% w stosunku rocznym, nadto z nadzieją, że jej w całości nie odda, to uznaje już nakład, przynoszący 2½% za rentowny. Skoro jednak obsługujemy pożyczki zagraniczne w wysokości realnej ponad 9%, tedy lokaty o niższej rentowności musimy uznać za dekapitalizację. Zrozumienie tej zależności wydaje się dotąd niedostateczne.

j. p.

CENY KRAJOWE WĘGLA

W numerze 20-tym Gospodarki Narodowej z roku 1935 umieściłem artykuł, w którym wskazywałem na korzyści gospodarcze, jakie możnaby osiągnąć, gdyby kosztami różnicy cen eksportowych i krajowych na węgiel, obciążono nie konsumenta węgla w kraju, lecz towary, które dzięki wywozowi węgla itp. możemy z zagranicy sprowadzać.

W artykule tym podałem kilka przykładów liczbowych, w formie próbnej kalkulacji tych korzyści.

Na podstawie wysunięcia przezemnie powyższych postulatów nawiązała się dość przewlekła korespodencja z zainteresowanemi sferami węglowemi, które zwróciły mi uwagę na niektóre nieścisłości popełnione przezemnie i które dostarczyły na poparcie swoich uwag nieco nowego materjału liczbowego.

Sądzę, że Czytelnika nudziłaby zbyt szczegółowa analiza cyfrowa tych nieścisłości, które popełniłem częściowo z braku dostępnych materjałów, częściowo z pełną świadomością, poprostu dlatego, że ścisłość wogóle nie jest osiągalną bez bardzo rozwlekłej rozprawy.

Poprzestanę więc tylko na wynikach pisemnej dyskusji, jaka odbyła się w sposób prywatny:

1) Rozpiętość między ceną wywozową i krajową nie jest stałą. — Dla najdroższych gatunków wyniesie ona na tonnie do 8 złotych, na miale węglowym już tylko 2 — 3 zł.

2) Gros cementowni pracuje na miale węglowym i dlatego cyfry możliwych zniżek kosztów własnych produkcji cementu przez obniżenie ceny węgla, podane przezemnie w oparciu o droższe gatunki węgla, są dla tego przykładu, jak i dla przykładu wapna, przesadzone in plus.

3) Niektóre kopalnie mogą dzięki niskim kosztom własnym wywozić węgiel zupełnie bez strat i nie musiałyby dla uprawiania wywozu węgla podnosić cen krajowych. Jeżeli mimo to istnieje tak poważna rozpiętość między cenami wywozowemi i krajowemi, to przedewszystkiem należy to przypisać polityce, która chroni egzystencję kopalń gorszych, posiadających znacznie wyższe koszta własne. Mamy tu do czynienia, zdaniem sfer fachowych raczej z zagadnieniem polityki społecznej, aniżeli z zagadnieniem czysto kalkulacyjnem. -— Gdyby zamknąć większość polskich kopalń węgla i zatrudniać tylko kopalnie o najniższych kosztach własnych, ceny krajowe nie musiałyby być wyższe od cen wywozowych i rynek krajowy mógłby podobno być nasycony bez zaniechania wywozu.

5) Różnica między ceną utargu kopalń należących do konwencji węglowej przy dostawach na rynek krajowy i na wywóz wynosić ma podobno nieco więcej jak 5,50 przeciętnie na tonnie, a nie jak ja to na oko zakładałem około 8 zł. Tyle co do koniecznych sprostowań. Teraz wnioski .

Porównywanie utargu kopalń, jak to czynią zainteresowani przemysłowci węglowi sprawy nie załatwia. Różnica między utargiem krajowym i zagranicznym na kopalniach nie określa wcale prawdziwej różnicy cen krajowych i zagranicznych. Trzebaby jeszcze uwzględnić zyski brutto koncernów handlowych, które przejmują w większości wypadków całą produkcję kopalń, i trzebaby jeszcze uwzględnić różnicę w kosztach przewozu.

Faktem jest, że Polska płaci za własny swój węgiel drożej jak zagranica, że konkurenci polskiego przemysłu mogą zaopatrywać się po części w węgiel polski taniej jak przemysł polski.

Faktem jest dalej, że rozpiętość cen krajowych i zagranicznych, mierzona przeciętną konsumenta wynosi blisko 30% i że w okresie walki o obniżki cen przemysłowych, przewozów kolejowych itd. — ceny węgla w Polsce powinny być przyrównane do poziomu cen eksportowych.

Przeciwko temu postulatowi wytoczono następujący argument.

Kopalnia węgla dostarcza 100 t. miesięcznie po 20 zł. za tonnę.

Koszty przedstawiają się jak następuje:

sztygar miesięcznie	600 zł.
biuro	400 zł.
robocizna po 10 zł. tonna	1000 zł.
razem	2000 zł.

Konsument płaci 20 zł. i taniej już jak bez zysku obsłużyć go nie można.

Teraz zgłasza się do kopalni zagraniczny odbiorca, który chce płacić za ten sam węgiel tylko 12,— zł. za tonnę kupując drugie 100 ton.

Kalkulacja będzie wyglądała jak następuje:

sztygar miesięcznie	600 zł.
biuro	400 zł.
robocizna po 10 zł. tona	2000 zł.
razem	3000 zł.

Utargi wyniosą na rynku wewn. za 100 ton	2000 zł.
„ na wywozie za 100 ton	1200 zł.
Razem	3200 zł.

Kopalnia może zatem rezygnując z zysku obniżyć cenę krajową o 1 złotego na tonnie tylko dzięki temu, że na wywóz sprzedaje po 7 zł. taniej jak na rynku wewnętrznym.

Argument niby bardzo przekonywujący. — Czy istotnie.

Po pierwsze kopalnia w której stosunek kosztów stałych do zmiennych kształtuje się podobnie jak w przykładzie, wymaga gwałtownie reorganizacji w zakresie kosztów stałych, lub likwidacji. — Po wtóre wiadomem jest, że w praktyce Polska posiada niektóre kopalnie, których koszt własny wcale nie jest wyższy od ceny wywozowej, po trzecie wiadomem jest że stosunek produkcji idącej na rynek i na wywóz nie jest jak 1:1, lecz jak 1,8:1, albo wdg. przemysłowców węglowych 1,5:1. Zatem konieczna różnica między kosztami własnemi w wypadku wywozu i w wypadku produkcji tylko na rynek krajowy nie po-

winna wynosić tyle ile obecnie wynosi (ponad 5,50 zł. przeciętnie wdg. przemysłu węglowego).

Błyskotliwy argument za koniecznością zachowania różnicy między ceną krajową i wywozową jest zresztą zupełnie nie a propos, skoro postulat mój brzmi: wskazuję inne źródło pokrycia dla ew. koniecznych różnic kosztów własnych, aniżeli utrzymywanie wysokiej ceny wewnątrz kraju.

Nie dążę do zmniejszenia produkcji ani wywozu. Nawet nie atakuję w tej chwili polityki sztucznego utrzymania przy życiu licznych kopalń pracujących ze zbyt wysokiemi kosztami własnemi. — Atakuję zupełnie inną rzecz. Atakuję zasadę, że koszta całej tej polityki ma płacić konsument węgla, a nie konsument tych artykułów, które Polska dzięki wywozowi węgla może sprowadzać. Twierdzę, że korzyść z obniżenia cen wewnętrznych węgla przeciętnie o 30% będzie znacznie większą dla kraju, jak szkoda mogąca powstać z podrożenia o odpowiednią miarę chociażby nawet wełny, bawełny, skór surowych, garbników, przędzy itd. — Podrożenie surowej wełny o 50% podraża przędzę już tylko o niecałe 40%, tkaniny o niecałe 25%, konfekcję o niecałe 15%. Jeżeli wszędzie uwzględnimy jeszcze koszta pośrednictwa, transportu itd. 50% podrożenia wełny, bawełny, skór surowych, garbników wywoła u konsumenta conajwyżej podrożenie gotowych artykułów o około 10%. Na wielkość obrotów nie wpłynie to bardziej, jak zmiana mody. Nie wpłynie prawie wcale. Obniżenie cen węgla w kraju, wywołać musi potanienie transportu, potanienie energji mechanicznej w fabrykach, potanienie wydatku w budżecie opałowym i światła.

Mam przed sobą kilka ciekawych cyfr o przeciętnych rocznych rozchodach w budżetach rodzin robotniczych:

Rok 1928	w % % całości wydatków opał i światło	odzież i obuwie
Warszawa	4,3%	14,2%
Łódź	4,1%	16,4%
Zagłębie Dąbr.	3,4%	14,1%
Górny Śląsk	4,4%	17,1%
Przeciętnie	4,3%	15,3%

Zniżka ceny o 30% w grupie opału i światła

Jak wynika z powyższych cyfr potanienie opału i światła o 30% dawałoby zniżkę wydatków o 1,3%, natomiast podrożenie odzieży i obuwia o 10% zwyżkę o 1,5%.

Od czasu, w którym statystyka powyższa była robiona, ceny w grupie odzieży spadły bardziej, jak w grupie opałowo-świetlnej, — nawet po ostatnich zniżkach cen kartelowych.

Z cyfr tych widzimy, że pomijając zupełnie korzyści w zakresie potanienia transportu i potanienia fabrycznej energji cieplnej w bezpośredniej konsumcji korzyści z obniżki cen węgla i straty z podwyżki cen w grupie odzieżowo-obuwianej wzajemnie się kompensują, że zatem korzyści dla transportu i potanienia energji cieplnej dla fabryk stanowić będą dla gospodarstwa krajowego zysk netto. Mojem zdaniem ten zysk netto jest tak poważny, że warto się o niego starać w drodze zmiany systemu pokrywania sztucznie wysokiej ceny węgla w kraju.

Oczywiście zagadnienie to wymaga jeszcze wszechstronnego naświetlenia, by ustalić, czy nie istnieją jakieś momenty przezemnie nie uwzględnione, które zmienią proporcję korzyści i strat.

Wł. Dmnd.

WŁADYSŁAW WIRSKI

DOKĄD ZDĄŻA RZEMIOSŁO?

„Źle się dzieje w państwie duńskiem" — oto refleks jaki rzuca się po uważnem przeczytaniu sprawozdań izb rzemieśl. o stanie rzemiosła za rok 1934. Rzemiosło legalne (warsztaty rzem. których właściciele posiadają uprawnienie przemysłowe w formie kart rzemieślniczych), którego liczebność wg. danych izb rzem. wyraża się na 1. 1. 1935 r. cyfrą ok. 320 tys. warsztatów ledwo dycha, pozbawione możności zarobkowania wskutek kryzysu gospodarczego i z powodu konkurencji warsztatów więziennych, szkolnych, konkurencji przemysłu fabrycznego, nakładczego, domowego i ludowego a zwłaszcza konkurencji t. zw. fuszerów. Ci ostatni, tj. wykonywujący rzemiosło nielegalnie, a więc bez kart rzem., stanowią, zdaniem rzemiosła legalnego najgroźnieszego konkurenta, który niby nowotwór złośliwy wycieńcza cały organizm rzemiosła. Co najgorsze to to, że jak wynika ze sprawozdań fuszerstwo to nie jakiś tam początkujący nowotworek, którego w drodze krótkiej operacji można usunąć z organizmu, ale to ⅕ część ogółu legalnych warsztatów, to potężny nowotwór, który oddawna usadowił się w organizmie rzemieślniczym i opanowawszy go w całości przerzutami, wytrąca chirurgowi nóż z ręki. Jeżeli uwzględni się ponadto, że rzemiosło cierpi na liczne niedomagania jak np. brak kapitałów obrotowych, urządzeń technicznych, własnych organizacyj gospodarczych, że wykazuje duże wady i schorzenia (martwota i prostracja), wewnętrzne antagonizmy, które przejawiają się najczęściej w nielojalnej między sobą konkurencji i last but not least w rażących dysproporcjach, jakie występują w dziedzinie życia rzemieślniczego, kształtującego się do niedawna w ramach życia zbiorowego trzech zaborców o różnej kulturze i krańcowo innych stosunkach politycznych, społecznych i gospodarczych, trudno nie przyznać, że istotnie stan rzemiosła jest ciężki i wymaga aby się niem wreszcie bliżej zainteresować. Nietylko zainteresować ale także i głęboko wczuć, znacznie głębiej niż to czyni rzemiosło, które nie chce, czy też nie umie zrozumieć prawdziwej rzeczywistości i suggeruje siebie i innych, że źródłem wszelkiego zła w rzemiośle to kryzys gospodarczy i fuszerstwo. Tak rozumując wysuwa więc postulaty i programy równie śmiałe jak nierealne. Oto kilka charakterystyczniejszych, zaczerpniętych ze sprawozdań; „Rzemieślnicy zażądali wystąpienia Izby z wnioskiem o znowelizowanie prawa przemysłowego w tym kierunku, aby karani

byli nietylko nieuprawnieni rzemieślnicy, lecz również i ci, którzy oddają roboty w zakres rzemiosła wchodzące t. zw. fuszerom". „Jedynie współpraca z władzami rzemiosła może skutecznie przyczynić się do wytępienia fuszerstwa". Energiczna walka z nielegalnem wykonywaniem rzemiosła, zapewnienie rzemiosłu udziału w dostawach państwowych i samorządowych, wreszcie kredytu niskoprocentowego i długotrwałego — oto jedyna droga ratunku dla rzemiosła.

„Fuszerstwo — jak pisze jedna z izb rzem. — stanowi zdaniem ich (rzemieślników) największe i najważniejsze zagadnienie w rzemiośle, wobec którego wszelkie inne —choćby one leżały głęboko i oddawna w samym ustroju rzemiosła — schodzą na plan drugi".

W świetle tej psychozy fuszerskiej jaka opanowała rzemiosło legalne zrozumiałem jest, że w sprawozdaniach izb rzem. fuszerstwo stanowi „Leitmotyw" wszelkich rozważań, oraz, że izby i organizacje rzemieślnicze zmobilizowały cały swój aparat do walki z fuszerstwem, które mimo to, mimo okólniki wojewodów i starostów, mimo rygory prawa przemysłowego nie tylko nie maleje, ale zwiększa się z roku na rok i wykazuje coraz większą dynamikę. Opanowawszy niemal w całości rynek wiejski zaczyna atakować rzemiosło legalne w miastach i miasteczkach, staje do dostaw i przetargów, a co najgorsze „cieszy się nietylko poparciem bezkrytycznego społeczeństwa, ale i władz".

Źródłem powstania i narastania fuszerstwa jest zdaniem rzemiosła kryzys gospodarczy. Kryzys ten zmusza warsztaty rzem. do zwalniania pracowników a niektóre zawody jak szewstwo, krawiectwo, stolarstwo do posługiwania się pracą chałupników. „Bezrobotni pracownicy rzemieślniczy — z konieczności utrzymania siebie i swoich rodzin zakładają bądź własne warsztaty, które w większości wypadków prowadzą nielegalnie, nie uzyskując karty rzemieślniczej i z reguły nie wykupując świadectw przemysłowych, bądź to (zresztą w większości) przechodzą na pracę chałupniczą".

„Wśród osób nielegalnie wykonywujących rzemiosło dadzą się wyodrębnić następujące kategorje:
1) nie posiadające żadnych dowodów uzdolnienia zawodowego wymaganych ustawą,
2) posiadające niezupełne dowody (niedouczeni uczniowie, pomocnicy lub czeladnicy),
3) posiadający normalne warunki do usamodzielnienia się (bezrobotni czeladnicy)."

Czynnikiem, który zdaniem rzemiosła sprzyja rozwojowi nielegalnych warsztatów jest ich konspirowanie się, wskutek czego nie płacą żadnych podatków a oferując przez to swe wyroby i usługi po cenach niższych od produkcji legalnej cieszą się poparciem ludności zwłaszcza wiejskiej, która będąc spauperyzowana nie tyle zwraca uwagę na jakość ile na taniość towaru, a także jak pisze jedna z izb „powszechnie utarta opinja, że produkcja rzemiosła jest droga i nie dostosowuje się do wymogów życia".

Ponieważ nacisk ze strony nielegalnych staje się coraz nieznośniejszy dla legalnego rzemiosła i niema prawie zawodu któryby nie był opanowany przez nielegalnych, rzemiosło widząc, że mimo rygory prawa przemysłowego, mimo zarządzenia władz i własną samoobronę fala nielegalnego rzemiosła rozlewa się coraz szerzej, uważa, że jedyną drogą do obrony jego stanu posiadania jest właśnie jaknajenergiczniejsze tępienie nielegalności przez władze przemysłowe oraz pomoc Rządu i społeczeństwa. Zdaniem rzemiosła Rząd powinien otoczyć rzemiosło specjalną opieką — zmniejszyć świadczenia publiczne, zapewnić rzemiosłu dostawy, dogodny kredyt, ograniczyć konkurencję fabryczną, zlikwidować warsztaty rzemieślnicze przy więzieniach, szkołach i innych zakładach publiczno-prawnych, karać „bezkrytyczne" społeczeństwo popierające fuszerów i co najważniejsze Rząd powinien z całą bezwzględnością tępić fuszerów. Społeczeństwo powinno przejąć się zasadą, że tylko mistrz, tylko uprawniony rzemieślnik jest pełnowartościowym fachowcem i mieć na uwadze więcej estetykę towaru jak jego cenę. „Ausgerechnet" szczególnie to ostatnie, gdyż jak pisze jedna z czołowych izb rzem. estetyka wyrobów rzemieślniczych upada zastraszająco i zaczyna ustępować estetyce seryjnych wyrobów fabrycznych.

Wyrobiwszy sobie w świetle powyższych uwag i cytat zaczerpniętych ze sprawozdań izb jako taki pogląd na zagadnienie fuszerstwa w rzemiośle i znając program rzemiosła rozważmy skoleji zagadnienie i program na płaszczyźnie naszej sytuacji społeczno-gospodarczej. Pół miljona rocznego przyrostu, duże bezrobocie strukturalne na wsi, grożące dalszą pauperyzacją i zaostrzeniem stosunków społecznych, bogactwa naturalne skromne, kapitały własne nikłe przy nader ograniczonym dopływie kapitałów zagranicznych, emigracja zamknięta, eksport zablokowany, wielkie dysproporcje w układzie stosunków społecznych i gospodarczych w poszczególnych częściach kraju, sytuacja geograficzno-polityczna nakazująca stałe pogotowie obronne i odpowiednio wielki budżet wojskowy, wreszcie opóźnienie w wyścigu przemysłowym przy wadliwej strukturze naszego przemysłu, stanowiącego niejednokrotnie przeżytek po stosunkach zaborczych. Opierając się na tej właśnie rzeczywistości budować musimy i to bezzwłocznie nasz program społeczno-gospodarczy, wytyczając mu jako najbliższy etap uprzemysłowienie kraju, spóźnionego conajmniej o 50 lat w wyścigu uprzemysłowienia i zapewnienia choćby najskromniejszego udziału w dochodzie społecznym bezrobotnym. Oto rzeczywistość dzisiejsza, z którą każdy myślący obywatel liczyć się musi, a której niestety rzemiosło nie docenia.

W świetle tej dygresji widzimy jak pryncypjalny i bezkompromisowy jest program rzemiosła. W bezwzględnem tępieniu nielegalnych warsztatów pracy, reglamentowaniu życia gospodarczego (jakby ono nie było i tak dość zreglamentowane) widzi rzemiosło swe zbawienie i zażegnanie kryzysu w rzemiośle, zapoznając iż ciężka istotnie jego sytuacja nie jest tylko wynikiem dekonjunktury gospodarczej ale także wynikiem wadliwej struktury samego rzemiosła.

Czy kryzysowi gospodarczemu należy przypisać takie anomalje w ustroju gosp. rzemiosła, że szewstwo i krawiectwo — najwięcej podatne konkurencji przemysłu fabrycznego i nakładczego — stanowi ⅓ stanu liczebnego ogółu rzemiosła, że na 64 zawodów pięć najliczniejszych, t. j. szewstwo, krawiectwo, rzeźnictwo, kowalstwo, stolarstwo, stanowi 60% wszystkich warsztatów rzemieślniczych (legalnych

i nielegalnych), licząc 230 tys. warsztatów. Czy „niechęć mistrzów — pracodawców i samych uczni do szkoły dokształcającej zawodowej, uczęszczanie do której w wielu wypadkach uważane jest za stratę czasu, za jeszcze jeden ciążący na rzemiośle przymus", to też wina kryzysu gospodarczego? Czy istotnie „konjunktura zawodu stolarskiego kształtowała się w zależności od racjonalnie prowadzonej walki z nielegalnem rzemiosłem"?

Czy bezwględna likwidacja nielegalnych warsztatów istotnie uzdrowiłaby rzemiosło, zwiększając jego obroty i zarobki jak to przypuszcza duży odłam rzemiosła? Załóżmy więc, że załatwiając rzecz po abisyńsku, przestępcom tj. nielegalnym rzemieślnikom, obcina się ręce powyżej łokcia (i to koniecznie powyżej łokcia), aby raz na zawsze nie wykonywał fuszerstwa. W efekcie otrzymamy poważną armję bezrobotnych, dalsze spauperyzowanie społeczeństwa i osłabienie jego siły konsumcyjnej. Załóżmy inne realniejsze i humanitarniejsze rozwiązanie, a mianowicie ulegalizowanie tych przestępców, (co jest na czasie w obecnym okresie amnestjomanji) przez zaopatrzenie ich w karty rzemieślnicze (broń Boże dyplomy mistrzowskie) czego domaga się i tak (nie dyplomów) realnie myśląca część rzemiosła i skoro jak pisze Izba w Stanisławowie, osoby te posiadają wystarczające wiadomości w danym zawodzie. Obroty w rzemiośle legalnem (pardon! wszak już nie będzie nielegalnych w rzemiośle) również nie ulegną zwiększeniu, natomiast możliwe jest pewne wyrównanie cen w rzemiośle, n. b. o ile możliwe będzie obciążyć nowoulegalizowanych podatkami i o ile dawni legalni (jawni), z których co drugi wykupuje świadectwo przemysłowe, zawrą gentlement agreement z drugą połową płacących podatki co do „nieracjonalnego" obniżania cen.

Załatwienie sprawy w sposób wskazany w jednym czy drugim wypadku nie rozwiąże wszakże zupełnie problemu nielegalności w rzemiośle. Co będzie bowiem z tymi pracownikami w rzemiośle, którzy dziś zatrudnieni, jutro staną się bezrobotnymi, z tymi, którzy dochodząc do pewnego wieku szukają samodzielnego zarobkowania. Problem ten staje się szczególnie kapitalny skoro się uwzględni, że jak stwierdzają izby rzem.:

1) nielegalni zatrudniają sporą ilość pracowników, nie wyłączając uczniów, zaś „mistrzowie uczniów niechętnie przyjmują — posługując się raczej niewykwalifikowanymi pracownikami. Nie liczą się oni z tem, że pomocnicy ci po wyjściu z warsztatu tworzą przyszłe szeregi nielegalnych warsztatów,
2) że pracownicy zatrudnieni u nielegalnych oraz niewykwalifikowani pracownicy (młodociani robotnicy) posługujący mistrzom — to z reguły element aspirujący do najrychlejszego usamodzielnienia się, co w zasadzie w ramach obow. systemu dowodu uzdolnienia nie jest możliwe,
3) że pod rządami obow. prawa przemysłowego nielegalni rzemieślnicy nie mają z reguły warunków aby nabyć prawa do dalszego kształcenia uczniów, a więc będą musieli ich zwolnić.

Tacy uczniowie i młodociani robotnicy nie mając możności zdobycia dowodu uzdolnienia zawodowego, przedewszystkiem przez niedopuszczenie ich do egzaminu czeladniczego stworzą albo kadry nielegalnych, albo w najlepszym wypadku — co byłoby mniejszem złem — będą się starali uzyskać dyspensę od tego dowodu. Należy niestety przyjąć niemal jako pewnik, że przy obow. systemie dowodu uzdolnienia zajdzie raczej ta pierwsza ewentualność tj. nowe narastanie nielegalnych albowiem jak stwierdzają izby, nielegalni to w większości pracownicy rzemieślnicy, którzy albo pobierając naukę u nieuprawnionego rzemieślnika, albo nie mogąc z tych czy innych względów (np. dla braku świadectwa ukończenia szkoły dokszt. zawod. lub z powodu opłat egzaminacyjnych) złożyć egzaminu czelad. poszli po linji najmniejszego oporu — otwierając warsztat nielegalnie.

Nie negując bynajmniej iż kryzys gospodarczy wpłynął wybitnie na rozwój rzemiosła nielegalnego źródła jego powstania szukać należy także w nieżyciowych przepisach o dowodzie uzdolnienia, których tak stanowczo domagała się większość rzemiosła legalnego w trakcie tworzenia polskiej ustawy przemysłowej. Duże zasługi położyli w rozwoju rzemiosła nielegalnego również ci rzemieślnicy, którzy świadomie czy nieświadomie łamali i łamią nadal przepisy odnośnie kształcenia terminatorów, trzymając ich nieprawnie, czy też zatrudniając młodocianych robotników dla ominięcia „uciążliwych" przepisów formalno - prawnych, związanych z przyjęciem terminatora.

Patrząc dziś z perspektywy 8 lat obowiązywania w Polsce dowodu uzdolnienia zawodowego, każdy nieuprzedzony przyznać musi, iż system ten nie dał rzemiosłu oczekiwanych korzyści.

System egzaminów czeladniczych stanowiący organiczną część dowodu uzdolnienia nie odpowiada swemu założeniu, a więc m. i. podniesieniu poziomu zawodowego. Tak jak się rzecz ma stanowi (system) realne korzyści jedynie w budżetach izb rzemieślniczych, z roku na rok malejące. Jak odnoszą się zaś sami najwięcej zainteresowani do instytucji egzaminów czelad. świadczy to, iż w roku 1934 na terenie pięciu izb w województwach centralnych, liczących 122 tys. warsztatów przystąpiło zaledwie 2133 kandydatów i wielu pod przymusem izb, które uzależniły udzielenie wniosku na dyspenzę od dowodu uzdolnienia od uprzedniego złożenia egzaminu czeladniczego.

Uprzedzając zarzut specyficznych trudności na jakie napotykają kandydaci do egzaminów czelad. na terenie tych województw (nikła ilość mistrzów — brak szkół dokształcających — większe spauperyzowanie ludności) przytoczmy bardziej „murowany" przykład. Oto na terenie jednej z izb południowo-zachodnich, a więc na terenie gdzie instytucja egzaminów czeladniczych ma stare tradycje gdzie istnieje stosunkowo wysoka kultura rzemieślnicza, rozbudowana sieć szkolnictwa dokształcającego, było w roku 1930 zatrudnionych w warsztatach rzem. około 10.000 czeladników i pomocników oraz około 9000 terminatorów. W okresie lat 1930 — 1935 odbyło się 4860 egzaminów czeladniczych, mimo, iż w tym samym okresie przybyło około 3000 nowych terminatorów, a stan zatrudnienia w roku 1934 wykazuje około 7000 czeladników i pomocników i 3700 terminatorów. Jak zaś wygląda sam poziom egzaminów

czelad. świadczą fakta, iż na terenie tej izby egzaminatorzy rzemieślnicy w niektórych wypadkach, wbrew opinji delegata Kuratorjum stają po stronie „zlanego" kandydata na czeladnika oświadczając: „nie puścimy go to będzie fuszerem". Może mają rację! „Zmniejszyła się liczba prawidłowo odbywających naukę rzemiosła oraz składanych egzaminów czeladniczych, ponieważ zbyt wygórowane i uciążliwe wymagania skłaniają do obchodzenia przepisów o dowodzie uzdolnienia — zatem trzeba się liczyć o obniżeniem się poziomu zawodowego młodego pokolenia" pisze w sprawozdaniu izba lubelska.

Droga do podniesienia poziomu zawodowego rzemiosła nie wiedzie stanowczo poprzez egzamina czeladnicze i mistrzowskie, ale poprzez rozbudowę szkolnictwa powszechnego i zawodowego, poprzez kursy zawodowe a nadewszystko drogą szkolenia narybku rzemieślniczego w racjonale urządzonym warsztacie rzemieślniczym i pod okiem odpowiednio wykształconego naukodawcy.

Obowiązujący obecnie system nauki zawodu i uzyskania tytułu mistrza nie daje korzyści rzemiosłu jak i rozwojowi polskiego gospodarstwa narodowego i wymaga gruntownej reformy. Reforma powinna iść w tym kierunku aby prawo kształcenia i trzymania terminatorów przysługiwało tylko „dyplomowanym" rzemieślnikom i to w tych wypadkach, jeżeli izba rzem. stwierdzi, iż „dyplomowany" rzemieślnik nie jest specjalistą w wąskim zakresie, a więc wykonywa tylko spodnie lub kamizelki, ale że ma opanowaną znajomość i wykonywa całość rzemiosła w odpowiednio przystosowanym warsztacie. Pisząc „dyplomowany" rzemieślnik mamy na uwadze nowy typ rzemieślnika, nie tego z dyplomem mistrza ale rzemieślnika pełnowartościowego, który dyplom uzyskał w drodze prawdziwego egzaminu sprawdzającego jego kwalifikacje. Rebus sic stantibus mamy w Polsce tysiące i dziesiątki tysięcy mistrzów, z których tylko mała część zasługuje na ten tytuł i uprawnienia stąd płynące. Większość (zdarzają się także analfabeci) uzyskała ten zaszczytny tytuł (dzisiaj już zaszczytu nie przynoszący) albo bez składania egzaminu w drodze t. zw. regulaminu ulgowego, za pewną opłatą (mowa tu o rzemieślnikach w b. zaborze austryjackim, posiadających prawa nabyte do trzymania terminatorów), albo też, jeżeli idzie o b. zabór rosyjski, w drodze uproszczonych (i to jak) egzaminów czeladniczo-mistrzowskich. Szczególnie dla rzemiosła „inflacja" mistrzów kończy się, choćby na skutek „zdecydowanie wrogiego stanowiska dużego odłamu rzemiosła do t. zw. egzaminów uproszczonych". Jak to pisze jedna z izb rzemieślniczych.

Oczywistą jest rzeczą, że nauczanie terminatorów przez tych „ulgowych" i „uproszczonych" mistrzów nie przynosi korzyści rzemiosłu i rozwojowi polskiego gospodarstwa narodowego (zachodzące tu wyjątki potwierdzają regułę) i stanowi zło konieczne, które należy łagodzić w sposób którыby nie naruszał praw nabytych tych rzemieślników. Czy skuteczniej niż to czynią egzamina czel. i mistrz. nie możnaby podnieść poziomu zawodu, stanowiąc np., że mistrzowie i ci którzy nie posiadają tego tytułu, lecz tylko prawa nabyte, zachowują prawo nauczania terminatorów ,jednakże tylko w tych wypadkach, jeżeli wykonywują swój zawód w miejscu gdzie istnieje szkoła dokształcająca zawodowa i gdy posiadają odpowiednio dla celów nauczania urządzony warsztat. W innych wypadkach osoby te jak również i nie posiadający prawa kształcenia zatrudnialiby młodocianych robotników.

Reforma systemu nauczania wymagałaby także aby każdy posiadający dowód uzdolnienia mógł uzyskać tytuł dyplomowanego rzemieślnika drogą egzaminu dyplomowego. Wprowadzenie w miejsce egzaminu mistrzowskiego, egzaminu dyplomowego przyniosłoby niewątpliwie korzyść zarówno rzemiosłu (n. b. przy zachowaniu powagi tego nowego egzaminu) jak i rozwojowi polskiego gospodarstwa narodowego i spotkałoby się przypuszczalnie z unaniem rzemiosła, względnie tej jego części, która ma aspiracje i wszelkie dane aby ją wyróżnić z tytułu posiadania nieprzeciętnych kwalifikacyj.

W dążeniu do podniesienia poziomu rzemiosła i licząc się ze stanem obecnym, który będzie trwać jeszcze długie lata dopóki nie wygasną tytuły mistrzowskie i prawa nabyte do kształcenia terminatorów, a który to stan nie sprzyjałby frekwencji egzaminów dyplomowych, zwłaszcza ze strony tych, którzy już posiadają prawo trzymania terminatorów, należałoby tym, którzy przodują fachowością i kulturą przyznać odpowiednie beneficja, szczególnie w dziedzinie życia rzemieślniczego, postanawiając, że tylko oni mają w zasadzie prawo wybierania i wybieralności do izb rzemieślniczych, do piastowania godności egzaminatorów, członków komisyj, przewodniczących cechów et caetera et caetera.

Reformując system dowodu uzdolnienia od strony egzaminatorów, należałoby w dalszej konsekwencji poddać gruntownej reformie nieżyciowe przepisy ustawy przemysłowej odnośnie rzemiosła, przystosowując je do rzeczywistości, jaką dyktuje konieczność polskiej gospodarczej racji stanu i dobro samego rzemiosła. W szczególności nie widzimy powodów, dla którychby należało reglamentować takie zawody jak golarstwo, pilnikarstwo, rzeźnictwo koni i wyrób wędlin z mięsa końskiego, wyrób frendzli sznurków i taśm do lamowania, wyrób przedmiotów z drucików złotych i srebrnych, które to zawody reprezentowane są w Polsce liczbą kilkudziesięciu warsztatów. Zawody te łącznie z innemi przemysłami wolnemi jak modniarstwo, hafciarstwo, bieliźniarstwo, szlifierstwo, parasolnictwo i td. należałoby uważać za rzemiosła wolne, nie objęte systemem dowodu uzdolnienia. Podobnie nie umiemy sobie wytłumaczyć dlaczego systemem koncesyjnym nie objęto rzemiosł budowlanych t. j. murarstwa, ciesielstwa, zduństwa i studniarstwa, których prowadzenie wymaga pewnych ograniczeń w interesie państwa i bezpieczeństwa publicznego. Ergo powinny one być zaliczone do rzemiosł koncesyjnych łącznie z przedsiębiorstwami instalacji wodociągowej, gazowej, elektrycznej, kanalizacyjnej i z kominiarstwem.

Wkońcu przechodząc do sprawy zasadniczej, do przystosowania dowodu uzdolnienia do wymagań życia, zauważamy potrzebę uelastycznienia sztywnych przepisów o trwaniu nauki i pracy w rzemiośle. Trudno nas jest przekonać, że dla zdobycia kunsztu niektórych rzemiosł, że wymienimy tylko bednarstwo i dekarstwo niezbędny jest aż 6-cio letni okres nau-

ki i pracy zawodowej. Uważamy, że gdzie jak gdzie ale w tych zawodach 2 letnia praktyka i równie długa praca zawodowa stanowiłaby wystarczający dowód uzdolnienia do samoistnego wykonywania tych profesyj, względnie 5-letnia praca u samodzielnego rzemieślnika. W pozostałych rzemiosłach 3-letnia nauka z 2-letnią pracą zawodową, wzgl. 6 lat pracy u samoistnie wykonywującego rzemiosło należałoby uważać za wystarczający dowód uzdolnienia zawodowego.

Sprawa ta o zasadniczem dla rzemiosła i dowodu uzdolnienia znaczeniu wymaga głębokiego rozważenia i trafnego przewidzenia wszelkich dalszych wynikających stąd następstw, tem niemniej w zupełności dojrzała do jej rozpatrzenia. Nie bez słuszności pisze izba lubelska, że przyczyną dla której młodzież skupia się raczej w warsztatach chałupniczych jest możliwość szybkiego zarobkowania i prawie cała młodzież szewska pierwsze wiadomości otrzymuje w warsztatach nielegalnych, a częściej chałupniczych."

Potrzeba zmian w naszej ustawie przemysłowej kształtuje się wyraźnie. Albo zachowanie status quo — reglamentacji rzemiosła z wszystkiemi jej pochodnemi a więc rozwojem rzemiosła nielegalnego i chałupnictwa, zacofaniem gospodarczem rzemiosła, upadkiem poziomu zawodowego, albo nieformowanie dowodu uzdolnienia, i to w sposób bezkompromisowy (mamy na myśli okoliczności towarzyszące narodzinom polskiej ustawy przemysłowej) — w sposób wyrównywujący dysproporcje między kręgiem liberalizmu przemysłowego a prohibicjonizmu rzemieślniczego, z korzyścią dla rozwoju rzemiosła i gospodarstwa narodowego. Tertium non datur.

ANDRZEJ JEZIORAŃSKI

FORMY OBRONY INTERESÓW PRZEMYSŁU I HANDLU

I.

W miarę komplikowania się stosunków gospodarczych, obserwujemy ciągłe wyodrębnianie się interesów, związanych z wieloraką i różnorodną działalnością producenta czy kupca. Ze zjawiskiem tem pozostaje w bezpośrednim związku proces rozbudowy i racjonalizacji form organizacyjnych, w jakich zrzeszają się przedsiębiorstwa poszczególnych działów i branż życia gospodarczego. Proces ten wynika z naturalnej linji najmniejszego oporu w zwalczaniu licznych i różnorodnych trudności i przeszkód, jakie każdy producent i kupiec spotyka na drodze swojej działalności oraz z dążenia do możliwej redukcji kosztów obrony interesów. Tendencja zrzeszania się występuje wszędzie tam, gdzie zachodzi wspólnota interesów w usuwaniu trudności jednakowych, dla pewnej grupy jednostek gospodarczych.

Obserwując przemiany dokonywujące się w strukturze organizacyjnej życia gospodarczego, jeżeli chodzi zwłaszcza o prywatny przemysł i handel, możemy stwierdzić, że doprowadziły one do ukształtowania się bardzo wielu typów i form zrzeszeń w wyniku działania różnorodnych motywów i bodźców, wpływających zarówno na tworzenie się nowych organizacyj, jak i na likwidację i przeobrażenia, jakim ulegają zrzeszenia już istniejące.

Utrudnia to niezmiernie przeprowadzenie metodycznej i życiowej klasyfikacji poszczególnych grup zrzeszeń, zwłaszcza wobec braku oficjalnego spisu organizacyj gospodarczych. Tem samem również na poważne przeszkody napotykają próby określenia ewolucji rozwojowej w strukturze organizacyjnej przemysłu i handlu, jak i oceny celowości dotychczasowego i dalszego istnienia nie tyle zrzeszeń poszczególnych, których pracę zawsze można zmierzyć, ile tych, czy innych typów organizacyjnych.

Obserwując proces organizowania się przemysłu w wolnych zrzeszeniach społeczno-zawodowych (a więc z wyłączeniem wszelkich form kartelowych), możemy zauważyć cztery zasadnicze rodzaje wspólnoty interesów, stanowiącej motyw łączenia się grupy przedsiębiorstw na terenie organizaji, a mianowicie:

a) wspólnota branżowa, która łączy przedsiębiorców, produkujących jeden i ten sam artykuł, lub grupę artykułów pokrewnych, względnie handlujących niemi;

b) wspólnota klasowa, która łączy przemysłowców lub kupców różnych branż, niezależnie od specjalizacji fachowej, natomiast w zależności od rozmiaru przedsiębiorstwa. Wynika to z różnicy interesów przemysłu lub handlu większego w stosunku do średniego i drobnego.

c) wspólnota wyznaniowa, która występuje głównie w handlu łącząc z jednej strony kupców chrześcijańskich, z drugiej zaś — żydowskich.

d) wspólnota zainteresowań stosunkami gospodarczemi z jednym krajem, której wyrazem jest tworzenie t. zw. izb handlowych mieszanych polsko-zagranicznych.

Niezależnie od zgrupowania organizacyj według powyższych kryterjów należy je jeszcze podzielić w zależności od terytorjalnego zakresu działania na:

a) regjonalne, reprezentujące interesy gospodarcze branżowe, klasowe lub wyznaniowe pewnej grupy przedsiębiorstw na terenie pewnej części kraju (jeden lub kilka powiatów, województwo lub grupa województw) stanowiącej obszar o względnie jednolitych lub podobnych warunkach produkcji i wymiany, co wytwarza wspólnotę potrzeb lokalnych;

b) ogólnopolskie, do których zaliczają się przeważnie centralne związki zrzeszeń regjonalnych o charakterze klasowym, lub wyznanionym oraz organizacje branżowe.

Ten podział organizacyj społeczno - zawodowych przemysłu i handlu według tylu różnych kryterjów, wytworzył w praktyce mozaikę typów zrzeszeń skomplikowaną i mało przejrzystą, wobec tego, że typy te zazębiają się między sobą, skutkiem ciągłego i postę-

pującego jednocześnie w kilku kierunkach różniczkowania się interesów, związanych z różnorodną działalnością.

Na tem tle rozpatrywać należy proces organizowania się przedsiębiorstw przemysłowych w zrzeszeniach społecznych w Polsce Niepodległej. Charakteryzuje się on przedewszystkiem stałem przestawianiem punktu ciężkości obrony interesów z płaszczyzny regjonalnej, związanej z istnieniem różnic dzielnicowych — na płaszczyznę ogólną-polską w miarę scalania się trzech b. zaborów w jednym organizmie gospodarczym. Niemal równocześnie z unifikacją organizacyjną przemysłu całej Polski i oddzieleniem reprezentacji jego interesów od interesów rolnictwa i handlu — występuje w ewolucji organizacyjnej przemysłu moment klasowej wspólnoty względnie odrębność interesów, który wpływa na utworzenie ew. zreaktywowanie, obok Centralnego Związku Przemysłu Polskiego — organizacji ogólnopolskiej i międzybranżowej przemysłu średniego i drobnego.

Oprócz tych procesów, zachodzących na terenie organizacyj międzybranżowych, dajc się zaobserwować w przemyśle wyraźny ruch organizacyjny w kierunku branżowym o coraz większej specjalizacji. Zrzeszenia tego typu w swoich komórkach podstawowych mają przeważnie charakter regjonalny jako lokalne zrzeszenia branżowe zupełnie samodzielne dla załatwiania wspólnego spraw o znaczeniu ogólno państwowem łączą sią w porozumienia (Rady, Komitety Porozumiewawcze), które częstą przyjmują następnie formę związków zrzeszeń branżowych o zasięgu ogólnokrajowym. W miarę wzmacniania więzi organizacyjnej między zrzeszeniami branżowemi regjonalnemi na płaszczyźnie ich związku, występuje często proces centralizacji w tym kierunku, że branżowe zrzeszenia regjonalne stopniowo zatracają charakter autonomiczny, przekształcając się w oddziały prowincjonalne centrali, a tem samem związek zrzeszeń przekształca się w zrzeszenie.

Należąc do branżowego związku centralnego — zrzeszenia regjonalne, czy to samodzielne, czy nawet istniejące jako oddziały prowincjonalne centrali — łączą się często równocześnie w organizacje międzybranżowe regjonalne dla obrony wspólnych z innemi branżami przemysłu interesów, związanych z warunkami lokalnemi.

W obecnej chwili działa w Polsce ok. 180 organizacyj branżowych przemysłu z czego ok. 60 — to organizacje ogólnopolskie, jeżeli można za takie uważać zrzeszenia przemysłu węglowego, naftowego, hutniczego, z których każde obejmuje wprawdzie tylko jeden okręg kraju, ale równocześnie obejmuje całość danego rodzaju produkcji.

Z tych 60 branżowych organizacyj ogólnopolskich — zaledwie 9 przypada na związki zrzeszeń regjonalnych, ich rady względnie komitety wykonawcze i t. p. porozumienia, działające na wyższych szczeblach organizacyjnych. Pozostałe, w liczbie z górą 60 — to związki, zrzeszające bezpośrednio przedsiębiorstwa.

Dodać należy, że ze 120 regjonalnych organizacyj branżowych przemysłu, przynamniej połowa należy do wspomnianych związków zrzeszeń, co przy dużej liczbie ogólnopolskich branżowych zwartych organizacyj przedsiębiorstw — obrazuje dokładnie zjawisko konsolidacji organizacyjnej w łonie poszczególnych branż, na płaszczyźnie ogólnokrajowej.

Ze zjawiskiem stałego wzmocnienia ogólnopolskich organizacyj branżowych idzie w parze zjawisko typu organizacyj międzybranżowych regjonalnych w przemyśle. Okazują się one w wyniku ewolucji, zachodzącej w obecnej konstrukcji form obrony interesów przemysłu coraz mniej potrzebne. Niewątpliwie więc stopniowo tracić będzie on dotychczasową samodzielność, na korzyść organizacyj branżowych obejmujących swoim zasięgiem cały kraj i opartych na oddziałach prowincjonalnych, potrzebnych do informowania centrali o warunkach i postulatach lokalnych branży. Sugestje te nie dotyczą centralnych ogólnopolskich organizacyj międzybranżowych — związków zrzeszeń. Przy rozbudowie i specjalizacji organizacyj branżowych, potrzebna im jest bowiem nadbudówka, której zasadniczą wartością jest zdolność obsługi wszystkich branż dla zaspokojenia ich potrzeb wspólnych, niezależnych od warunków specjalnych danego działu przemysłu, np. w zakresie oddziaływania na ogólną politykę gospodarczą państwa, na kształtowanie się ustawodawstwa w dziedzinie skarbowości, pracy, ubezpieczeń społecznych, traktatów handlowych, taryfy celnej, kolejowej, pocztowej, udzielania porad prawnych i t. d. Istnienie takiej nadbudówki wynika przedewszystkiem z zasady oszczędności kosztów obrony interesów gospodarczych. Utrzymanie potrzebnego w tym celu sprawnego aparatu jest niewątpliwie kosztowne, jednak ciężary te są napewno znacznie niższe od ogólnej sumy obciążeń, jakie spadłyby dodatkowo na przemysł, gdyby każda poszczególna organizacja branżowa musiała się również poświęcać obronie interesów ogólnych o charakterze raczej klasowym, wspólnych dla wszystkich branż. Poszczególne zrzeszenie tego typu prowadząc wielotorową działalność w sprawach, które łatwo dają się sprowadzić do wspólnego mianownika, stanęłyby wówczas wobec konieczności znacznego rozszerzenia swych aparatów, co spowodowałoby z kolei znaczny wzrost składek na ich utrzymanie. Gdy jednak stwierdzamy, że nadbudówka centralna jest potrzebna organizacjom branżowym, a koszty jej utrzymania choć wysokie, są jednak całkowicie usprawiedliwione potrzebami życiowemi, to równocześnie musimy postawić tezę, że istnienie takiego ogólnopolskiego związku zrzeszeń branżowych, z których każde obejmuje również cały kraj, jest wystarczające. Wysiłki przemysłu powinny się więc raczej skoncentrować na utrzymaniu nadbudówki, a nie rozpraszać się w różnych kierunkach. Dlatego w obecnych warunkach wydaje się bardzo problematyczną potrzeba istnienia szeregu międzybranżowych organizacyj regjonalnych, które stanowią zbędne ogniwo pośrednictwa w obronie interesów ogólnych przemysłu. Przecież wszystkie te organizacje wysuwają jedne i te same postulaty, bronią jednych i tych samych interesów, których obronę prowadzi już, wyposażona w większy autorytet i lepsze środki działania — organizacja centralna. Różnice dzielnicowe zostały już w znacznej mierze zatarte Potrzeby regjonalne, wspólne dla wszystkich branż istnieją zawsze, ale przecież bronią ich lokalne izby przemysłowo-handlowe. Oczywiście słuszny jest postulat zwiększenia wpływu czynnika społecznego, reprezentowanego przez radców tych izb na działalność Związku Izb przez czynny udział tych radców w pracach komisyjnych Związku, czynny w stopniu większym niż ma to miejsce dotychczas. Ale to powinno

w zupełności wystarczyć dla zapewnienia należytego uwzględnienia potrzeb regjonalnych w tych pracach i cały szereg lokalnych zrzeszeń międzybranżowych — wydaje nam się — można dziś śmiało zlikwidować. Niewątpliwe są zasługi tych zrzeszeń w przeszłości; nie może to jednak obciążać djagnozy o ich potrzebie w teraźniejszości, zwłaszcza, że na tę sprawę musimy patrzeć nie od strony ambicyj osobistych kierowników zrzeszeń, lecz z punktu widzenia tendencji do usuwania zbędnych przerostów w samem życiu gospodarczem, bo przecież utrzymanie tych organizacyj kosztuje i obciąża przemysł.

Różnice klasowe interesów w łonie samego przemysłu załatwiane są na płaszczyźnie ogólnobranżowej dzięki właściwościom tych różnic i dzięki istnieniu dwuch centralnych organizacyj klasowych większego i mniejszego przemysłu; lokalne zrzeszenia międzybranżowe nie mają więc możliwości i kompetencji uzgadniania wspomnianych sprzeczności. Jeżeli chodzi o różnice interesów między przemysłem i handlem, to tutaj raczej można byłoby twierdzić, że w lokalnych izbach przemysłowo-handlowych potrzebna jest równowaga wpływów tych dwuch działów gospodarstwa, a dla jej utrzymania potrzebne jest istnienie regjonalnych zrzeszeń międzybranżowych przemysłu, o ile nie uległyby likwidacji analogiczne zrzeszenia kupieckie co obecnie nie jest możliwe. Z drugiej strony jednak wydaje się, że istnienie w siedzibach izb przemysłowo-handlowych oddziałów prowincjonalnych szeregu poważnych zrzeszeń branżowych przemysłu, wybierających radców do tych izb — jest dla utrzymania równowagi wpływów najzupełniej wystarczającem. Zwłaszcza, że jak to dalej omówimy — rozbudowie organizacyj branżowych przemysłu, odpowiadają od strony handlu tylko zrzeszenia międzybranżowe, wobec słabego bardzo rozwoju samodzielnych form obrony kupieckich interesów branżowych. Najwyżej więc możnaby było postawić tezę, że przy likwidacji szeregu regjonalnych zrzeszeń międzybranżowych przemysłu, wskazanem jest uruchomienie przez te zrzeszenia branżowe, które dziś nie mają oddziałów prowincjonalnych — przedstawicielstw lokalnych w siedzibach izb przemysłowo - handlowych i wyposażenia tych placówek w odpowiednie prawa wyborcze.

Te nieco teorytyczne rozważania, pragniemy uzupełnić obserwacjami praktycznemi. Poza dwoma ogólnopolskiemi zrzeszeniami związków przemysłowych istnieje ok. 19 regjonalnych międzybranżowych organizacyj przemysłu sensu stricto. W liczbie tej nie bierzemy pod uwagę zrzeszeń, łączących kupców i przemysłowców, ani takich organizacyj, jak Związek Górnośląskiego Przemysłu Przetwórczego, który ma za zadanie obronę interesów wprawdzie kilku branż, jednak połączonych wspólnotą pokrewnych cech gospodarczych, które w łonie samego przemysłu stwarzają różnicę interesów (przemysł przetwórczy, contra przemysł surowcowy) różnicę właściwą specjalnie dla okręgu, na którym działa wspomniana organizacja.

Z tych 19 regjonalnych międzybranżowych organizacyj przemysłu, objętych polem naszego widzenia — 9 obejmuje obszary małe, jednego lub paru powiatów. Są to więc obszary znacznie mniejsze w stosunku do terenów działania właściwych izb przemysłowo-handlowych, co przemawia na korzyść odnośnych organizacyj. Jako przykład można przytoczyć Towarzystwo Przemysłowców we Włocławku, obejmujące okręg, o specjalnych właściwościach gospodarczych w stosunku do całości województwa Warszawskiego, stanowiącego teren działania Izby Przemysłowo-Handlowej w Warszawie, względnie 4 organizacje międzybranżowe przemysłu, reprezentujące każda po jednym z okręgów Izby Przemysłowo-Handlowej w Sosnowcu: Zagłębie Dąbrowskie, Ziemię Radomską, okręgi zawierciański i częstochowski.

Natomiast np. w Białymstoku istnieje Związek Przemysłowców, obejmujący obszar miejscowy ekspozytury Izby Przemysłowo-Handlowej w Wilnie. A pozostałe 9 regjonalnych zrzeszeń międzybranżowych obejmuje obszary zbliżone, lub pokrywające się niekiedy zupełnie ściśle z terenami działania Izb P. H. Są to zresztą w znacznej części organizacje należące, narówni ze zrzeszeniami branżowemi do nadbudówki centralnej. Weźmy więc praktyczny przykład. Fabryka świec pod Poznaniem należy do sekcji świeczkarskiej Związku Fabrykantów w Poznaniu. Interesy jej są bronione: a) przez sekcję świeczkarską, która może zapewne występować samodzielnie, jako lokalna organizacja branżowa, b) przez Związek Fabrykantów w Poznaniu, do którego należy sekcja świeczkarska, c) przez Centralny Związek Przemysłu Polskiego, którego członkiem jest Związek Fabrykantów w Poznaniu, d) przez ogólnopolską organizację branżową — Centralny Związek Przemysłu Mydlarskiego w Polsce, do którego również należy sekcja świeczkarska Związku Fabrykantów w Poznaniu.

Równocześnie zaś interesy fabryki świec w Poznaniu reprezentowane są przez Izbę Przemysłowo-Handlową w Poznaniu, a za jej pośrednictwem — przez Związek Izb. Czy nie wystarczy w danym wypadku obrona ogólnopolskiej organizacji branżowej i samorządu gospodarczego?

Ten przykład nie ma bynajmniej charakteru zarzutu w stosunku do Związku Fabrykantów w Poznaniu, organizacji bardzo zasłużonej. Zmierza on jedynie do wskazania niewątpliwego przerostu form obrony interesów przemysłowych, które to zjawisko wymaga przemyślenia i objektywnego oświetlenia.

NOTATKI

NADMIAR CZY BRAK

Zjawisko „przeludnienia" w niektórych zawodach czy nawet gałęziach gospodarstwa narodowego jest faktem niewątpliwym. Ma ono swe podłoże konjunkturalne i strukturalne: pierwsze sprawia, że np. za dużo jest kopalń węgla lub przedsiębiorstw włókienniczych albo warsztatów szewskich, drugie zaś tkwi w naszym ustroju społeczno-gospodarczym, w psychice polskiego „homo oeconomicus" i w wychowaniu (w szerokim sensie tego wyrazu).

Wiemy dobrze, iż zjawisko, o którem mowa, nie występuje z jednolitem natężeniem tak w czasie, jak i w przestrzeni. Są okresy, kiedy za dużo jest kopalni węgla, podtrzymywanych przez kartel, przez co cena węgla jest za wysoka. Gdy w danym przemyśle kartelu niema, to cena jest niska, walka konkurencyjna ostra, a współzawodnicy sypią się na ziemię jak gruszki. Kiedy powiedzie się jednemu sprzedawcy pasty do obuwia, natychmiast wszyscy rzucają się do zakładania sklepów z tymże artykułem; jak wyjdzie na ulicę jeden handlarz wiecznych piór, to nazajutrz nie będzie można się opędzić od handlujących tym interesującym (ale nie nabywcę) towarem. A jeżeli na ziemiach wschodnich zabraknie brukarzy, to napewno poznańscy lub śląscy brukarze nie będą mieli co jeść. W Warszawie doktorzy i adwokaci wykłócają się o najlichsze sprawy i posadki, a na prowincji znachorzy i pokątni doradcy zbierają wcale niezłe żniwo.

A jednocześnie dają się ciągle słyszeć narzekania na brak fachowców: w przemyśle, w rzemiośle, w handlu i w biurowości. Istnieje dzisiaj blisko pół miljonowa „rezerwowa armja pracy" (mam tu na myśli zarejestrowanych w Funduszu Bezrobocia poszukujących zatrudnienia). Z tej olbrzymiej ilości ponad 55% przypada na robotników niewykwalifikowanych. A jeżeli jeszcze dodamy, iż z pośród ca 40.000 bezrobotnych pracowników umysłowych conajmniej ¾ stanowią t. zw. siły pomocnicze, „Mädchen für alles", nie mający fachu w ręku itp., to dojdziemy do wniosku, że element niefachowy liczy dzisiaj ok. 300.000 ludzi. Co z nimi robić?

I co robić z nowym narybkiem, z młodzieżą, która szturmuje do tych samych zakładów, skąd jeszcze niedawno usunięto nadmierną (z kryzysowego punktu widzenia) ilość jej ojców i starszych braci? Bo przecie w Polsce obowiązuje powszechnie linja najmniejszego oporu, przejawiana nie tyle przez samą młodzież, co przez pokolenie starsze, przez rodziców i opiekunów. Stąd największy przyrost robotników, rzemieślników i urzędników w zawodach i dzielnicach „przepełnionych". Młodzież sama jest winna bierności i braku pomysłowości: nie porywa się na poszukiwanie pracy tam, gdzie jest ona niezbędna, nie idzie na spotkanie popytowi, nie podejmuje czynności pionierskich. Piszącego te słowa kilku młodych akademików prosiło o wyjednanie poparcia i pomocy finansowej, które miały poprzedzić ich zamiary (!) przestudjowania(!) sprawy eksportu ziół i jagód z Wołynia. O zakasaniu rękawa, o bezpośredniem zetknięciu się z „odnośną" produkcją na miejscu, o zaczynaniu poprostu od... początku — żaden z tych młodych ludzi nie pomyślał. Woleli przyjść do gotowego, a nie znajdując go — obrazili się i kwita.

Gospodarka społeczna ludzkim materjałem fachowym wymaga planowości i temperamentu. Z marnotrawstwem, którego ofiarą pada w pierwszym rzędzie młodzież, wartoby już skończyć. Wiemy, że coś nie coś się robi: przeszkala się bezrobotną inteligencję, samorząd gospodarczy otwiera kursy dla — dajmy na to — specjalistów od reklamy lub dla brukarzy, stowarzyszenia zawodowe inspirują swych członków we właściwym kierunku. Wszystko to idzie ospale i ciężko: organizacje traktują ten problem na próbę i od niechcenia, ludzie zaś są wygodni, leniwi i konserwatywni (i to nawet bezrobotni). Stawka jest więc tylko na młodzież. Można ją odpowiednio kierować, regulując (byle nie, broń Boże, środkami prawno-administracyjnemi!) do odpowiednich gałęzi, zawodów i rejonów. Dla somorządu gospodarczego, zrzeszeń zawodowych i czynnika państwowego (z Ministerstwami: Oświaty oraz Opieki Społecznej na czele) otwiera się tutaj piękne i wdzięczne pole do popisu.

k. b.

ERGO I CUKIER

W dwu pismach (Przegląd Gospodarczy i Gazeta Cukrownicza) ukazał się artykuł P. Dyr. J. Iwasiewicza p. t. „Po zniżce ceny cukru".

Na zakończenie swoich wywodów, służących tezie, że ostatnio dokonana obniżka ceny cukru jest zgubna dla wszystkich, nie wyłączając niemal konsumenta, czytamy co następuje:

„W obecnem położeniu nasuwa się pytanie, czy istotnie interes publiczny wymagał od przemysłu cukrowniczego tak wielkich ofiar, że mogą one podważyć jego przyszłość. Mamy najgłębsze przeświadczenie, że taka konieczność nie istniała. Nikt bowiem nie zdołał uzasadnić słuszności takiego poglądu, *że nawet najgorzej sytuowany robotnik może ponosić wydatek kilkudziesięciu groszy dziennie na papierosy, a nie jest w stanie płacić paru groszy dziennie za cukier*, nabywany dla całej rodziny — że cena cukru, obciążona 40-oma groszami różnych opłat na rzecz Skarbu, nie może być wyższa od detalicznych cen ryżu i jabłek — że musi być przeszło 2 razy tańsza od kawy zbożowej — że jeden kilogram cukru łącznie z akcyzą nie może przewyższać wartości 5 egzemplarzy gazety codziennej — i t. d. Dysproporcje tych wydatków są tak rażące, że nie wymagają bliższych komentarzy". (Podkreślenie nasze).

Jeśli już robimy porównanie cen poszczególnych artykułów, to zestawiajmy ze sobą artykuły porównywalne, względnie róbmy to według jakiegoś założenia. O ile założymy, że cukier ma być artykułem luksusowym — zestawiajmy jego cenę z cenami artykułów luksusowych (win, owoców), względnie potrzeb kulturalnych, zaspakajanych na syto (gazeta). Zaiste wtedy okaże się, że cukier ma krzywdząco niską cenę.

Natomiast jeśli uznamy cukier za artykuł pierwszej potrzeby, tak samo jak chleb, mąkę, mleko, tłuszcze i t. p. — otrzymamy nieco odmienny obraz. Ce-

na cukru była, i jest zresztą, niewspółmiernie wysoka w porównaniu z cenami innych artykułów pierwszej potrzeby. Równie wielkiej niewspółmierności nie spotykamy w innych krajach, zbliżonych ceną cukru do naszej (Czechy, Niemcy, Francja, Austrja) [1]. „Dysproporcje wydatków" na cukier i na inne artykuły i w Polsce i w cytowanych wyżej krajach „są tak rażące, że nie wymagają bliższych komentarzy".

Jakiż stąd można wyciągnąć wniosek? Chyba tylko ten, że cukier jest zbyt niedostępny i że każdy grosz zawarty w cenie cukru decyduje o możności nabycia cukru przez szerokie masy. Wszystko więc co stoi na przeszkodzie obniżce ceny cukru powinno być usunięte, niezależnie od tego czy to są zbyt wysokie koszty produkcji, czy renta kartelowa, czy też *akcyza.*

To też wbrew zdaniu autora sądzę, że interes publiczny właśnie jaknajgłębiej i jaknajdalekosiężniej pojęty wymaga obniżenia cen jeszcze bardzo wielu innych artykułów, tak, ażeby „robotnik", o którym mowa, nie przepłacał na żadnym z nabywanych artykułów.

Natomiast jeśli zgodzimy się z tem, że „robotnik" (słowa tego używam jako symbol) może płacić parę groszy więcej za cukier, to, czyniąc sprawiedliwości zadość, musimy uznać, że może i *powinien* płacić „parę groszy więcej" za wszystkie nabywane artykuły, szczególnie zaś za artykuły skartelizowane bądź zmonopolizowane.

Gdyby nie to, że w argumencie z papierosami pokutuje pewien niebezpieczny pogląd na poziom cen, nie mówiłbym o nim, zbyt żywo bowiem przypomina mi znaną anegdotę o dwóch panach w Ameryce, z których jeden palił cygaro i spoglądał na drapacz chmur. Mam na myśli głośne i znane, już niemal anegdotyczne, twierdzenie o potrzebie wysokich cen artykułów przemysłowych na krajowym rynku.

Nabywca krajowy musi płacić wysokie ceny, ażeby przemysł mógł skutecznie konkurować na rynkach zagranicznych, ażeby był rentowny, ażeby mogły pracować względnie otrzymywać „postojowe", najdrożej pracujące warsztaty i t. d. i t. d..

W rezultacie krąg nabywców zacieśnia się coraz bardziej. Zdawałoby się, że najprostszem (najtrafniejszem) wyjściem z sytuacji, w jakiej znalazło się nasze życie gospodarcze, jest strukturalna przebudowa szeregu gałęzi wytwórczych. Tymczasem zaś konsument otrzymuje zalecenie przestawienia względnie ograniczenia swego spożycia. — „Robotnik najgorzej sytuowany" ma zaprzestać palenia papierosów, a „robotnik", którego stać na to powinien palić machorkę zamiast powiedzmy „Ergo", zaś różnicę ceny powinien obrócić na kupno cukru po wyższej cenie.

To też ideał. Ergo i cukier są drogą do ideału.

p. k.

[1] Ceny detaliczne artykułów pierwszej potrzeby w niektórych państwach. G. U. S. Mały Rocznik Statystyczny, str 151.

BRAK ZMYSŁU KUPIECKIEGO

Tytuł zapożyczony z „Polityki Gospodarczej" (Nr. 10 z 25. II. b. r.). i poniższa historyjka również.

„Ostatnio bawił w Polsce pewien amerykanin — właściciel wielkiego domu importowego w New-Yorku. Importer amerykański przyjechał do Polski po raz pierwszy. Zatrzymał się w Łodzi w największym miejscowym hotelu. Na pytanie o cenę pokoju oświadczono mu, że pokój kosztuje 20 zł. na dobę. Amerykanin zaakceptował cenę, nie zaakceptował natomiast rachunku, jaki mu przedstawiono po 4-dniowym pobycie. Rachunek opiewał coprawda na 80 zł. za czterodniowy pobyt, ale do tego doszedł 20% podatek miejski. Amerykanin oświadczył, że jest obcokrajowcem, kupcem i nie zamierza podatku zapłacić — zapłaci tylko 80 zł. W sprawie tej interwenjowała u dyrekcji hotelu Izba Handlowo-Przemysłowa, ale nic nie pomogło.Podatek jest podatkiem i amerykanin musiał go zapłacić...

„— Polska jest niewątpliwie pięknym krajem — oświadczył amerykanin dyrekcji hotelu, — ale interesów z wami nie można robić. Wy, Polacy, nie macie zmysłu kupieckiego".

Coś w tem wszystkiem nie „sztymuje". Bo skoro „podatek jest podatkiem", to każdy go płacić powinien, a trudno się domagać, by odróżniano importerów od eksporterów i tych pierwszych zwalniano, a drugich nie. Przeprowadzenie dowodów, że się jest dla Polski pożytecznym, byłoby conajmniej skomplikowane. To jedno, a drugie: wypadek z owym amerykaninem był niewątpliwie sporadyczny i o niczem świadczyć nie może. Po trzecie zaś — i tu jest „punctum saliens" powyższej historyjki — skoro to był tylko incydent, skoro Izba Przemysłowo - Handlowa interwenjowała i skoro chodziło raptem o 20 zł., to przecież nic prostszego, jak to, że sama Izba z własnych funduszów zapłaciłaby owe 20 zł., aby wielkiego importera nie zniechęcać — i byłoby po krzyku. Więc po co obwiniać biurokrację miejską i hotelową, gdy nawet samorząd gospodarczy cierpi na brak zmysłu kupieckiego.

k. b.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFON 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.